№ 2. Warszawa, dnia 9 Stycznia (28 Grudnia) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy; kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Czyniąc zadość licznym żądaniom, cenę dzieła Taylora „Zmyślność i moralność roślin" pozostawiamy **dla abonentów** *Prawdy* nadal zniżoną, to jest rs. 1 kop. 50. Nieprenumeratorzy płacą rs. 2.

Ekonomia polityczna, dołączona zeszytami w bezpłatnym dodatku do *Prawdy*, w osobnem odbiciu kosztuje rs. 3.

POLITYKA.

RADA FAMILIJNA.

Że w sprawach półwyspu Bałkańskiego nie panuje między mocarstwami „zgoda," wie o tem tak dobrze każde z owych mocarstw, jak najskromniejszy z dzienniczków politycznych. Za zbyt długo krajała dyplomacya nową szatę serbom i bułgarom i białemi nićmi zszyć ją usiłowała, ażeby dla kogokolwiek mogło już być tajemnicą, że krawcy dotąd porozumieć się nie zdołali. Niedługo upłynie cztery miesiące od ogłoszenia unii bułgarsko-rumelijskiej: przez cały ten czas stosunki polityczne na Wschodzie pękają, dyplomaci wiążą je rozmaitymi sposobami bezskutecznie, pozwolili nawet kogutom słowiańskim rzucić się do walki i wstrzymali ich w chwili, gdy jeden drugiego za czub mocno chwycił. Co to wszystko ma znaczyć? Odlegli świadkowie tej tragikomedyi, chór, przypatrujący się zapasom ludzi i wpływom półbogów, przyjmuje tylko dwie możliwości: albo duchy opiekuńcze półwyspu Bałkańskiego nie znalazły dlań dotąd postaci dozwolonego istnienia i szarpią się w drobnych zatargach, albo też, znalazłszy tę formę, czekają dogodnej sposobności i odpowiednich warunków ażeby ją urzeczywistnić. Trzeciego prawdopodobieństwa tu niema; inaczej trudno wytłomaczyć sobie powolne tempo biegu wypadków, nadewszystko zaś liczne konferencye, odbyte i zapowiedziane, które niczego nie dokonały, powiększywszy tylko zamęt w myślach i czynach.

Do nas bardziej przemawia przypuszczenie, że w chaos bałkański wpadły już pewne siły, dążące do uporządkowania go według swych celów, że dotychczasowa bezpłodność polityki jest wyrazem sprzeczności dążeń stałych, nie zaś ich braku, że w gabinetach dojrzały plany, sięgające w bliską przyszłość, które pragną naciąć głębiej t. z. „kwestyę wschodnią." Instynktownie przeczuwa to cała Europa, zdradzająca ciągłą bojaźń i spodziewająca się na każdą wiosnę nietylko—fijołków. Od lat wielu ta pora roku, która dawniej przynosiła ludom wesele, stała się jakimś groźnym terminem wybuchów wojny. Zima zwykle zamraża obawy, lato zamienia je w parę, ale wiosna corocznie mocno rozgrzewa. Dreszcze tego niepokoju wywołują dotkliwy paraliż, jednocześnie wszakże sprawiają dziwną przyjemność. Na miliony już dziś liczą się w Europie ludzie, którzy chcieliby odetchnąć dymem i krwią wojny, którzy wyczekują jej z przekleństwem i uśmiechem na ustach, którzy jej złorzeczą i pragną. Dla takich ludzi wiosna jest zawsze porą burzy i tęczy.

Za kilka miesięcy rozwieją się może ich nadzieje, jak rozwiały się nieraz. Ale jeżeli przyznamy, a przyznać musimy, że stary upiór Europy — „kwestya wschodnia" powinnaby zniknąć, to z dwóch sposobów usunięcia jej — powolnego i szybkiego — ostatni zdaje się coraz bardziej zyskiwać na prawdopodobieństwie i wartości. Naślimaczyła się i najątrzyła ta rana dosyć — teraz trzeba ją wypalić, skoro nie chce się zagoić ani *per primam*, ani *per secundam intentionem*. Chirurgów nie brak, ale mniej dbałych o zdrowie chorego, niż o zapłatę. To operacyę utrudnia.

Jestże już jakaś zamierzoną? Zdaje się— i to naturalnie na koszt Turcyi, która z głupowatą miną przesyła wdzięczne uśmiechy do lekarzów, zgromadzonych przy jej łożu. Nigdy może nie okazała ona tyle niedołęztwa, tyle obojętności, tyle niemocy, co w wypadkach bałkańskich. Drży, wzdycha, zamyka oczy lub otwiera je, ażeby z twarzy kolejno zmieniających się lekarzów wyczytać, czy nie nadeszła dla niej ostatnia godzina. Polityka umie stwarzać dziwaczne stosunki i układać niemożliwe teoretycznie kombinacye, chyba wszakże nawet ona nie zdoła dłużej utrzymać młodych i krewkich ludów w służbie konającej pod Złotym Rogiem wiedźmy. To już przestało być zadaniem wykonalnem. Bułgarzy — jak grecy, rumuni, serbowie itd. — zrzuciwszy jarzmo, już do niego nie powrócą. Kto obejmie opiekę nad małoletnimi? Tu rdzeń współzawodnictwa.

Jak wiadomo, pełnoletność polityczna jest stanem dotąd nieokreślonym i uznawanym według kaprysu. Można mieć za sobą tysiąc lat cywilizacyi i być pozbawionem praw dzieckiem, a można liczyć sto lat życia cywilizowanego i posiąść wszystkie przywileje wieku dojrzałego. Ludy na półwyspie Bałkańskim mają szczęście do rad familijnych i zostawania pod ich kuratelą. Jeżeli Anglia poważnie zastanawia się nad tem, czy Irlandya „dorosła" do swobód, których żąda, czemużby takiego samego pytania nie mogła sobie zadać np. Austrya względem Bułgaryi? Opieka tedy nad małoletnimi poddanymi ks. Aleksandra jest konieczną — o tem po litycy nie wątpią — spierają się jedynie o to, kto ma być opiekunem głównym,

kto dodanym, i którzy członkami rady. Zyski, związane z temi godnościami, utrudniają zgodę i zarazem są tak ponętne, że warto je zdobyć na drodze walki. Oto, dlaczego licznym marzycielom tak często śni się—wiosna.

Czy wszakże zupełnie wyłączoną jest możliwość przyjacielskiego układu między lekarzami Turcyi a zarazem kandydatami do rady familijnej półwyspu Bałkańskiego? Stanowczość we wszystkich wróżbach jest bardzo niebezpieczną — więc i tego przypuszczenia odrzucać nie należy. Wnioskując wszakże z wypadków dotychczasowych, sądzimy, że węzeł „kwestyi wschodniej" nie będzie rozplątany zgodą, lecz rozcięty niezgodą. Taki wniosek nasuwa się każdemu uważnemu obserwatorowi, niewierzącemu nawet w zależność polityki od fijołków. Nie widzimy bowiem ani śladu głoszonych ciągle „pojednawczych usposobień," ani znaku „działania łącznego," ani echa harmonii w „koncercie europejskim." Przeciwnie, ostre sprzeczności dążeń i rozdźwięki waśni przedzierają ciągle grubą zasłonę gry dyplomatycznej. Byłożby dziwnem, gdyby gracze pochwycili się za bary i zaczęli wyrzucać sobie wzajemnie wolty i fałszywe karty? O czem gazety donoszą najczęściej? Wszakże o uzbrojeniach, będących „najlepszą rękojmią pokoju..."

Z FRANCYI.

Paryż, 29 grudnia.

Zdarzenia polityczne dni ostatnich...

Kongres obu Izb, zebrany w Wersalu, obrał ponownie prezydentem Rzeczypospolitej Juliusza Grevego, oddając mu władzę, więcej dekoracyjną niż istotną, na nowe siedmiolecie. Wybór ten był przewidziany, nie zaskoczył więc nikogo niespodzianką. Nie obyło się atoli bez drobnych starć. Konserwatywno-monarchiczna prawica robiła przy tej sposobności wiele hałasu i powstrzymała się od głosowania. Wstrzymało się także od urny kilku posłów ze skrajnej lewicy, przeciwnych w zasadzie godności prezydenta Respubliki. Kilku znowu innych z tegoż obozu stawiło żądanie bezzwłocznego zwołania konstytuanty dla dokonania gruntowego zrewidowania konstytucyi. Była to oczywiście prosta manifestacya, wniosek bowiem miał za sobą garstkę tylko radykalnych. Prawica podczas głosowania usiłowała odczytać protest, kwestyonujący prawomocność odbywającego się kongresu; kilka dni bowiem przedtem dwudziestu jej członków nie uzyskało potwierdzenia swych mandatów poselskich. Izba wykreśliła ich z swego grona, była przeto niezupełną! —wołali...

Mimo to wszystko Grevy wybrany został 457 głosami na 592 głosujących. Nominalnie połączony kongres obu Izb liczył 884 członków (584 Izba, 300 senat), należy jednak strącić odrzucone mandaty, niegłosowanie itd. Prócz Grevego największą z kolei ilość głosów otrzymał prezes obecnego gabinetu Brisson—68, minister spraw zagranicznych, Freycinet 14, Anatol de la Forge 10, Le Royer prezydent senatu 6, Dompierre d'Hornoy 5, Duclerc 4, marszałek Canrobert 3, Juliusz Ferry 2, Floquet, prezydent Izby, Wilson, zięć Grevego, generał Billot, Leon Say, gen. Campenon minister wojny, Juliusz Simon i znany uczony Pasteur(!)—po jednym. Z kandydatów powyższych najwięcej widoków powodzenia, w bliższej lub dalszej przyszłości, ma tedy Brisson...

Popierała go dość silna partya, nie czując się jednak pewnym większości ogłosił w przeddzień wyboru list, w którym zrzekł się ofiarowanego mu zaszczytu. Było to roztropnem. „Surowy" Brisson stracił wiele na swej popularności, zużył się, piastując od pół roku ciężkie berło naczelnej faktycznie władzy. Spieszy też złożyć i piastowaną obecnie godność prezesa gabinetu. Przyszły prezydent Respubliki musi przez czas jakiś odleżeć się na stronie, zdala od ciągłych walk politycznych, każdodziennie popełnianych błędów i ustawicznych również wymyślań ze strony wielogłowej i różnoimiennej opozycyi. Tymczasem, kto wie, może nie trzeba będzie odbywać aż siedmioletniego nowicyatu! Grevy jest już starcem, miał podobno niedawno, jak o tem opowiadają poufnie, atak apopleksyi, wtedy... Nie wiadomo jeszcze na pewno, kto weźmie opróżnioną po Brissonie tekę ministeryalną. W liczbie kandydatów wymieniają Freycineta, dalej Floqueta... Pierwszy niewątpliwie obejmie spadek.

Clemenceau jeszcze do władzy nie dojrzał. W kilkodniowej rozprawie tonkińskiej, która się toczyła w ubiegłym tygodniu przez cztery dni z rzędu i była wielką kampanią parlamentarną, przywódca radykalnej lewicy nie zajął stanowiska, któreby zapowiadało jego przyjście do władzy. Nie występował dość wyraźnie przeciwko opuszczeniu Tonkinu, czego chciało jego stronnictwo, oświadczył przytem, że obejmie ster gabinetu tylko wtedy, gdy będzie miał za sobą pewną większość republikańską. W sprawie zaś tonkińskiej radykalni, prowadzeni przez Rocheforta, głosowali w liczbie stu wraz z prawicą... i mimo to pozostali w mniejszości. Pobici wprawdzie zostali jedynie czterema głosami, ale zawsze pobici. Gabinet otrzymał żądany kredyt i gospodarować będzie dalej nad Czerwoną rzeką, zwycięstwo to wszakże przyszło niełatwo. Trzeba było naprzód nie zatwierdzić dwudziestu mandatów monarchicznych, przeciwnych Tonkinowi i przyspieszyć rozprawę, nim jeszcze pięciu nowo wybranych radykalnych posłów Paryża wejdzie do Izby. Paru przytem deputatów prawicy z biskupem Freppelem na czele głosowało za Tonkinem, z czego utworzyła się słaba bardzo i z różnych żywiołów złożona większość rządowa. Po takiem zwycięstwie gabinetowi nie pozostało nic innego, jak podać się do dymisyi!

Radykalnym można jednak powinszować, że sprawa tonkińska zeszła nieco z porządku dziennego. Była ona rok cały konikiem, na którym harcowali do upadłego. Udało im się przy tej pomocy obalić gabinet Ferrego, używano jej potem i nadużywano przy wyborach, podkopano wreszcie oportunistyczno-radykalny gabinet Brissona... Dosyć już. Partya republikańska we Francyi winna obrać sobie jakieś ważne sprawy wewnętrzne dla jednolitego działania lub podziału na walczące z sobą obozy. Wydaje mi się rzeczą więcej niż nienaturalną, żeby stronnictwa polityczne we Francyi grupowały się według tego: czy kto jest „za Tonkinem," czy przeciw niemu!

P.

POWIEŚĆ.

ZA TRZYDZIESTOLETNIĄ PRACĘ.

I.

Jan Żurba miał dwadzieścia lat, gdy po raz pierwszy wynajął się na leśniczego dla księcia Wirszajłły. Czasy to były ciężkie dla jego rodziców! Ojciec, przyciśnięty nieprzyjaznemi okolicznościami, sprzedał kęs własnej ziemi, sam zaś — dzierżawcą został. Z dzierżawy, ponieważ nie był człowiekiem zabiegliwym i niewprawnie gospodarkę prowadził, szczupłe płynęły dochody. W sąsiedztwie leżały majątki księcia Wirszajłły o czarnym, nieprzebytym lesie i bujnym, mrukliwym borze, a pod strzechą rodzinną zbyt ciasno i niedostatnio bywało—więc młody Żurba udał się do rządcy książęcego. Przyroda zbudowała go mocnym. Wzrostu był więcej niż średniego, barki miał szerokie, nogi zdolne do długiego chodzenia, ucho czujne, wzrok bystry.

— Właśnie takiego nam trzeba — powiedziano w zarządzie leśnym.

Przyjęto go.

Lasy księcia były nieprzebrodzone, zalegały pół powiatu jednego, dwie trzecie — drugiego, szumiały do siebie tajemnicę puszczy z dwóch przeciwległych brzegów Prypeci, a niejeden dopływ tej rzeki wdzierał się w głąb ich. Składały się z bujnych, nieobjemnych sosen, dębów, klonów, grabów i jesionów. W niektórych częściach rosły same lipy, zamieszkane przez roje pszczół leśnych, zatkane miodem. Pod osłoną mchów, kwaśnej i szorstkiej trawy spoczywały pokłady torfu, muszli ślimaczych, szczątki korzonków, dyszące zgniłym i ciężkim oddechem. Chłop, niewyzwolony jeszcze z więzów pańskich, choć zapuszczał się w dąbrowy i „olsy" *), lecz z bydłem i kosą, a w zimie z toporem po drwa brzegów się trzymał tylko, do głębszych uroczysk nie docierając. Nie było obawy o spustoszenie. Dziewiczość borów miała być jednak naruszoną. Widocznie czynsz przez dzierżawców wnoszony do księcia, i wysoka pensya, pobierana za piastowanie urzędu u dworu, nie wystarczały na życie. Żurba objął posadę leśniczego na wiosnę, a w jesieni zjawili się agenci jakiejś wielkiej firmy angielskich kupców drzewnych. Przyjechali obejrzeć las.

„Łosia knieja," nad którą miał dozór Żurba, wraz z wielu innemi przyległemi uroczyskami, odznaczała się najprzedniejszą sosną. Były to grube i smukłe, wysoko pienne drzewa, gwałtem napraszające się na maszty. Za granicą pożądano jeszcze wtedy takich do okrętów. W tym celu właśnie wysłańcy kupców angielskich przybyli do głównego zawiadowcy leśnego.

Rankiem jesiennym, pełnym mgły i spaleniny noclegowej, gdy sójka skrzeczy, jak rozdzierana gwałtownie tkanina, a żółna smutno krzyczy, gdy czuć pod sklepieniem iglic i liści stęchłą woń tworzącej się próchnicy, zwierzchnik Żurby, Dobrogodzki przywiózł z sobą dwóch ludzi, mówiących obcym językiem.

— Panie Żurba, oto tych panów oprowadzisz po swym uczastku. Są to kupcy—mają las obejrzeć!

„Kupcy! Mają las obejrzeć!" Więc potem będzie stękał pod toporem i walił się? Żałował Żurba lasu, bo po matce odziedziczył tkliwość dla roślin (matka jego namiętnie lubiła kwiaty, pielęgnowała je starannie). Przeszło od pół roku, wstając o świcie, ze strzelbą na ramieniu obchodził wszerz i wzdłuż. Na wiosnę lubował się melancholijnym świegotem drozda lub przyspieszonem tętnem serca wtórował bełkotaniu cietrzewi, tokujących po-

*) Tak się zwą u ludu na Polesiu niziny leśne, porośnięte olchami, oplątanemi u spodu drobną roślinnością i moknącemi w wodzie. Gdzie olcha rzadsza, tam pastwisko i sianożęć.

Z RUSI GALICYJSKIEJ.

Dnia, 2 stycznia 1886.

Walka nowej administracyi przeciw rusińskim czytelniom ludowym. — Echa z wyboru posła na sejm krajowy w Bohorodczanach. — Co znaczą coraz częstsze wybory starostów do sejmu.

Rusińskie czytelnie ludowe, które zaczęły pojawiać się mniej więcej od 1870 roku, a których od r. 1875 do 1885 założono przeszło 300, stanowią fakt wielce charakterystyczny i ważny w rozwoju ruchu narodowego. Już obecnie, pomimo ubogiej ilościowo i treściowo popularnej literatury rusińskiej bardzo wiele one zrobiły dla uświadomienia i oświecenia ludu. I co niemniej ciekawe: podczas gdy w zachodniej Galicyi czytelnie takie (o których stanie, liczbie i wpływie prawie nic nie wiemy) powstają niemal wyłącznie za wpływem księży lub panów, pod ich też powagą i pod ich nieustanną cenzurą wegetują—rusińskie w bardzo wielkiej ilości są dziełem chłopów. Wiele wsi, w których niema szkół i które nawet zawzięcie opierają się wprowadzeniu ich u siebie, posiada mimo to pięknie rozwijające się czytelnie. O jakiejkolwiek „opiece“ nad niemi ani niema mowy; zresztą wobec tej okoliczności, że literatura popularna u nas przechodzi przez nadzwyczaj surową prokuratorską cenzurę, osobna społeczna lub duchowna, zupełnie jest zbyteczną i nawet wyraźne rozporządzenie konsystoryalne, wydane w r. 1878 przez b. oficyała ks. Malinowskiego i wkładające na księży obowiązek cenzurowania książek dochodzących do rąk ludu, pozostało zupełnie bezskutecznem.

Od czasu do czasu jednak administracyjne władze powiatowe zwracają swe oczy na te skromne ogniska oświaty ludowej. Osobliwie tam, gdzie przy wyborach objawia się szczególnie silna agitacya narodowa, gdzie chłopi pomimo gróźb, przekupstw i aresztów trwale stoją za kandydatem rusinem, można być pewnym, że najpiękniej rozwijające się czytelnie ulegną najazdowi i „ścisłej kontroli“ władz. Jak ścisłą bywa ta kontrola, za dowód mogą posłużyć fakty takie, jak spakowanie całej biblioteki czytelni w Poznance (w obwodzie tarnopolskim) i przewiezienie jej do miasta powiatowego, gdzie dopiero władza miała dobrą sposobność przekonać się, że biblioteka nie mieści w sobie nic zakazanego. Zresztą bywa też, że rzeczy, wcale niezakazane przez prokuratoryę i sąd, są nagle zakazane w czytelni; tak się zdarzyło parę lat temu z czytelnią w Czerchawie, powiatu samborskiego, która została rozwiązaną za broszurkę, dwukrotnie i prawnie wydaną we Lwowie. Nadarmo czytelnia odwoływała się do wszystkich możliwych instancyj, kończąc na ministerstwie w Wiedniu. Dekret starostwa nie został zniesionym, i dopiero po roku gmina mogła zawiązać u siebie drugą, nową czytelnię. „Było nam bez niej, jak bez oka“—mówili mi włościanie czerchawscy.

Ubiegłej jesieni odbył się uzupełniający wybór posła na sejm krajowy z kuryi wiejskiej okręgu Bohorodczany-Sołotwina. Polski komitet wyborczy nie stawił tam tym razem żadnego kandydata, zostawiając wolną rękę rusinom. Lecz gdy równocześnie rusiński koalicyjny komitet, który przeprowadzał wybory do Rady państwa, także się rozwiązał, wzięła więc na się obowiązek „Ruskaja Rada.“ Szanowne to towarzystwo samo o tyle trzeźwo osądziło swój kredyt u rusinów na prowincyi, że polecenia i okólniki podznaczało nie własnym, lecz „komitetu centralnego“ podpisem. Nadto jeszcze, chcąc koniecznie przepchnąć swego kandydata, czyli raczej jednego ze swoich kandydatów, tyle narobiło zamętu w głowach wyborców, że ci bądź to zupełnie się usunęli od wyborów, bądź też postanowili oddać głosy—na starostę. „Ruska Rada“ jednego dnia zachwalała p. Kułaczkowskiego z Krakowa, drugiego dnia p. Iskrzyckiego z Sanoka, a gdy im oświadczono, że obu tych panów w powiecie nikt nie zna, poleciła wybrać bohorodczańskiego parocha ks. Zaklińskiego, który już dawniej posłując, zjednał sobie nieszczególną sławę przez swoją ambicyę i brak politycznego wykształcenia. Ks. Zakliński atoli, widząc, że chłopi za nim głosować nie chcą, lecz przeciwnie, zamierzają oddać swe głosy staroście, udał się listownie do tego ostatniego, prosząc go w pokornych i uniżonych słowach, by na rzecz jego od kandydatury odstąpił. Rozumie się, że ten dziecinny krok ks. Zaklińskiego mógł wywołać tylko śmiech p. starosty, który też prawie wszystkimi głosami, prócz kilkunastu, na posła wybrany został.

Fakt coraz częstszego wyboru starostów do sejmu lub rady państwa niejednokrotnie już był przedmiotem bolesnych uwag w prasie galicyjskiej. Rola tych panów w naszych parlamentach zazwyczaj bardzo dwuznaczna. Stanowią oni grupę głosującą zawsze i wszędzie z rządem, w komisyach sejmowych im powierzano bywają referaty najmniej znaczące i to bardzo rzadko—są to wogóle zera parlamentarne. A przecież zostają wybierani. Zdaniem mojem nie należy tu całej winy zwalać na ucisk administracyjny podczas wyborów, jak to czyni większość prasy polskiej. Działają tu w znacznej części inne, głębsze przyczyny, a mianowicie wzrastająca coraz bardziej nieufność naszego ludu do obecnego „samorządu,“ do kierującej nim t. zw. „hierarchii społecznej.“ Kiedyś pomówię o tem obszerniej.

M.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Propozycya rządu tureckiego, zwołania nowej konferencyi w sprawie zawikłań na półwyspie Bałkańskim poparta została tylko przez Anglię. Inne państwa odpowiedziały, że poprzednio powinien być zawarty pokój między Serbią i Bułgaryą. Pełnomocnik turecki Medżyd-pasza występować będzie w imieniu Bułgaryi, ale zarazem ma polecenie doprowadzić do skutku porozumienie księcia Aleksandra z Portą. Zawieszenie broni kończy się 13 marca, dla układów pokojowych zostaje więc dosyć czasu. Dotychczas niewiadomo jeszcze, gdzie zbiorą się pełnomocnicy stron wojujących; Serbia nie zgadza się bowiem na wybór Sofii, prawdopodobnie układy toczyć się będą w Wiedniu.

Gdyby nie mieszanie się mocarstw europejskich możnaby dziś już uważać za skończoną sprawę unii bułgarskiej. Turcya chętnie zrobi wiele ustępstw, natomiast zapowiada energiczny odpór żądaniom greckim. Ale i te ostatnie umilkłyby do bardziej właściwego czasu, gdyby w Atenach niespodziewano się na wiosnę powszechnej zawieruchy, podczas której to i owo można będzie urwać. Przewidywanie to może się spełnić, bo dyplomacya europejska, jak niegdyś w kwestyi hercogowińskiej, działa tak, jakby pragnęła powikłać stosunki i wywołać rozruchy, odrzuca

---

śród rannej mgły boru. Gdy gorączka myśliwska przemogła, strzelał, lecz do samców tylko, oszczędzając samice, jako piastujące potomstwo. Niestosowanie się stróżów leśnych do tego prawidła karcił niemiłosiernie wydaleniem. Knieja każda, legowisko — z macierzyńską pieczołowitością były przezeń strzeżone. On, las i zwierz, zamieszkujący go — to całość. Nawet wróciwszy do domu, potrzebował mieć złudzenie lasu. W izbie jednej był istny zwierzyniec. Pod piecem długouchy zając-tchórz chrupał liście kapuściane, na belce, pod pułapem gołębie - grzywacze i turkawki, kos pogwizdywał, szpak z sójką przedrzeźniały odgłosy słyszane, a sroka, podrygując, skrzeczała. Cietrzewie krasnobrewe przeplatały swe bełkotanie syczącem „czu-szy,“ na co im głuszec odpowiadał klaskaniem. Wiewiórka, uwijając się po izbie i czepiając wszelkiego przedmiotu, warczała, gil kwilił żałośnie. Zaledwie brzask zapłonął na niebie, całe to ptactwo ogłuszało swą wrzawą niesforną, budząc Żurbę, niby capstrzykiem. Kiedy wchodził karmić, całkiem był opanowywany przez skrzydlatych ulubieńców. Spokój i uśmiech dziecięcy osiadały mu wtedy na twarzy; pieścił, gadał do nich, a one go witały, hałaśliwsze z radości.

Tak żył dotąd. Gdy mu polecono pokazać las kupcom, zmarwił się.

— Masz tobie, dyable, czego nie lubisz!— wybuchnął zgryziony.

Tymi wyrazami zwykł niezadowolenie swe wypowiadać.

Wiódł ich przez cały las, życząc w duszy, iżby sobie odeszli, skąd przyszli. Bór gwarzył poważnie, a agenci co chwila przypadali do sosen, mierzyli ich objętość, patrzyli przez lunety na wierzchołki, zapisując coś. Domyślał się, że szło im o przydatność drzew na maszty. Obejrzawszy, rozprawiali między sobą, kończąc zawsze wykrzykiem: *all right*! I dumny był z lasu, widząc w oczach tych ludzi zamorskich zachwyty, i żal mu go było. Powodowany uczuciem tajonej zemsty, uwziął się ich wodzić kilkakrotnie po tych samych uroczyskach, skutkiem czego cudzoziemcy zawsze przychodzili do najlepszych, choć widzianych już, sosen, a wrócili do „głównego zarządu leśnego“ całkiem odurzeni bogactwem oglądanem. Zawarli umowy i dali księciu kilkakroćstotysięcy zaliczki.

Odtąd las zakipiał życiem. Poddani księcia dostarczyli siły roboczej, a leśniczowie i stróże leśni — kierowników. Ekonomowie, uzbrojeni w kańczugi, konno, z ciwunami jeździli po wsiach, spędzając ludzi do lasu. Niejednemu chłopu, co naznaczył dla siebie na jutro jakąś robotę pilną w polu lub stodole, zagrzmiał wieczorem przez nędzną szybę, nad uchem już uśpionem, rozkaz sług pańskich, żeby, zarzuciwszy topór na ramię, szedł drzewo ścinać. Klątwy sypały się z piersi niewolnika, tem groźniejsze, im tętent konia ekonomskiego bardziej milknął w oddaleniu...

Nazajutrz jednak rojno było w lesie. Bielały pod sosnami smukło-wyniosłemi zgrzebne koszule kmiece, błyskały w powietrzu topory, krzyżowały się echa cięć, wymierzanych grubą i pracowitą ręką w drzewa. Stękała ziemia od padających ze smutnym świstem olbrzymów. Lał się pot z głów chłopskich, zwieszonych nad obrębywaniem kłód. Pracowano... W pocie, w przyspieszonem tętnie krwi, w głębszym oddechu, w naprężaniu się rąk, karków, grzbietów i łydek marniała siła kmieca. A nad tem mrowiem roboczem stróże, dzieci ludu, w łapcie i siermięgi postrojeni, czuwali, dziwiąc się nagłej zmianie i kiwając głowami na widok tylu drzew ściętych, mających gdzieś za morze popłynąć. Leśniczowie, jakby ich giez ugryzł, krzątali się żwawiej, karcili robotników i stróżów za niedbalstwo.

Mieszkanie Żurby stało się punktem zbornym „wyrobu leśnego.“ Robotnicy, ściągnięci z pobliskich wsi, przychodzili na obrachunek codzień wieczorem, z dalszych — co sobotę. Wtedy zasiadał Żurba u stołu i przy żółtem, słabem świetle łojówki zapisywał w kwitaryuszu imiona i nazwiska chłopów, ilość dni roboczych,

bowiem wszystkie sposoby prostego załatwienia sprawy.

Pogłoski o abdykacyi króla Milana powtórzyły się znowu; powrócił on przed paru dniami do Belgradu i jak każdy pobity zrobił się odrazu monarchą konstytucyjnym i liberalnym. Amnestya powszechna została ogłoszona, teraz zaś mówią o powołaniu do rządu przedstawicieli stronnictw opozycyjnych, ponieważ gabinet Garaszanina pragnie choć w części pozbyć się odpowiedzialności, jeżeli nie za minione klęski, to za ich prawdopodobne następstwa. Nowe ministeryum ma składać się z ludzi należących do różnych partyj.

Anglicy zaczęli znowu kampanię w Sudanie a raczej na granicy górnego Egiptu i zaczęli ją zwycięztwem. Nie wiele to jednak pomoże, bo dla zupełnego uspokojenia kraju potrzeba prowadzić ciężką i kosztowną wojnę. Komisarz turecki Muchtar-pasza, który po długich oczekiwaniach przybył wreszcie do Egiptu, twierdzi, że w stłumieniu powstania udział wojsk otomańskich jest koniecznym. Anglia bezwątpienia bardzo dobrze wie o tem, ale próbuje jeszcze, czy nie obejdzie się bez tego niepożądanego pomocnictwa.

Włochy wplątały się również w awanturę na wybrzeżach morza Czerwonego. Zajęcie Massawy przez wojska włoskie wywołało najprzód protest Turcyi, który schowano do kieszeni, teraz zaś wojnę z Abisynią, której trudno będzie uniknąć. Lepiej udało się niemcom, zajęli oni bowiem na mocy umowy z naczelnikami plemion pobrzeże półwyspu Somala i uważają już za swój cały kraj, posiadający około 10,000 mil. kw. obszaru. W porównaniu z dotychczasowymi nabytkami Somala ma najwięcej warunków do założenia wielkiej kolonii handlowej. Jest to piękny podarunek na dwudziesto-pięcioletni obchód wstąpienia na tron cesarza Wilhelma. Rocznicę tę przed paru dniami właśnie obchodzono w Berlinie.

Po pewnem wahaniu Grevy przyjął dymisyę Brissona i polecił utworzenie nowego gabinetu Freycinetowi. Ten ostatni wszedł w układy z radykalną lewicą, mówiono już o wstąpieniu do rządu Clemenceau i Flocqueta, ale kombinacya ta nie przyszła do skutku, natomiast Freycinet pozyskał pod pewnymi warunkami poparcie radykalistów. Ministeryum będzie tymczasowem, zamierza ono przeprowadzić reformę budżetu i administracyi i uporządkować sprawy kolonialne.

W Hiszpanii odkryto już ślady dwóch spisków, zniweczono zamiar wywołania pronunciamento na rzecz starej intrygantki ex-królowej Izabelli, która zamieszkała stale w Madrycie i zaczyna już wichrzeć przeciw synowej. Ogłoszenie amnestyi powszechnej, od której nie wyłączono nawet Zorilli, wzmocni tylko żywioły rewolucyjne. Jaki charakter nosić będzie przyszła rewolucya — trudno zgadnąć, ale że niedługo wybuchnie, o tem nawet rząd hiszpański nie wątpi.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NIENASYCONY APETYT.

Podnoszenie i stwarzanie przemysłu za pomocą ceł jest dziś hasłem tak popularnem, że głoszą je nietylko bezpośrednio zainteresowani w „protekcyi" państwa dla własnej kieszeni, ale i naiwny ogół spożywców, który z godną podziwu ofiarnością chętnie składa drobnemi kwotami milionowe sumy na rzecz mniemanego rozwoju przemysłowego. Marzenie owego liberalnego gubernatora, który pragnął płacenie podatków uczynić zajęciem przyjemnem, ziściło się naprawdę. Jednakże ulubiony benjaminek—przemysł, pomimo sutego uposażenia i troskliwej opieki kwęka wciąż, stać nie może na własnych nogach, i domaga się coraz nowych zasiłków. W Towarzystwie zachęty przemysłu i handlu, na zjazdach fabrykantów, w drukowanych i pisanych projektach, w artykułach dziennikarskich na wszelkie niemoce pieszczonego niemowlęcia powtarza się stale jedna recepta w dwóch orzeczeniach: podnieść cło od wytworów zagranicznych, a jeżeli to nie pomaga—zabronić ich przywozu. Rozwój przemysłu, postawiony w zupełnej niezależności od innych objawów życia ekonomicznego, staje się jakiemś bożyszczem abstrakcyjnem, niemniej wszakże łaknącem coraz nowych i coraz większych ofiar. Protekcyonizm stał się prawdziwą religią, która posiada i uczonych kapłanów i obłudnych wyznawców i wreszcie liczny tłum naiwnych czcicieli. Tę ostatnią kategoryę stanowią ludzie, którzy widzą tylko zewnętrzną stronę zjawisk ekonomicznych i nie badają wcale ich treści lub też którzy wierzą w nadnaturalną wszechmoc przepisów i rozporządzeń za numerem N. N. Oni to oklaskują tryumfy zręcznych apostołów protekcyonizmu i dopiero kiedy ta prawdziwa orgia celna dochodzi do kresu i staje się już tylko rozpasaniem wszelkich samolubnych popędów, kiedy pobudki jej uczestników wykazują się w całej szpetocie—wtedy spada łuska z oczu zaślepionych.

Zjazd fabrykantów żelaza w Petersburgu przedstawia naocznie, do czego prowadzi protekcyonizm nieumiarkowany i wyzwolony od wszelkiej łączności z wymaganiami i potrzebami społeczeństwa, dla zadośćuczynienia którym pozornie istnieje.

Czytelnicy nasi wiedzą, że nie byliśmy nigdy bezwzględnymi zwolennikami zasady wolnej wymiany i że uznajemy niezaprzeczoną doniosłość opieki państwowej dla rozwoju ekonomicznego, zwłaszcza w naszych stosunkach. Ponieważ jednak nie poruszaliśmy teoretycznych podstaw tej sprawy, przypomnimy treściwie argumenty, jakie podaje nauka ekonomiczna na korzyść protekcyonizmu lub przeciw niemu. Opieka celna wtedy tylko ma racyę bytu, jeżeli kraj posiada przyrodzone warunki rozwoju pewnych gałęzi przemysłu, których dotychczas nie rozwinął. Wymaganie to jest koniecznem, inaczej bowiem przemysł będzie wytworem sztucznym, który nie utrzyma się, skoro pozbawiony zostanie opieki. Nie można zaś polityki protekcyjnej uważać jako zasady stałej, tego nie wymagają nawet jej wyznawcy. W każdym wypadku pilnie baczyć należy, czy te ofiary materyalne, jakie ponosi pokolenie żyjące na rzecz przyszłych, pokryją się kiedy i czy oprócz ceł nie ma innych środków poparcia nowego przemysłu? Drugim argumentem jest wytworzenie lub rozszerzenie pola pracy dla ludności robotniczej—rozumie się—ma on wagę tylko w tych krajach, gdzie stanowi ona znaczny procent ogólnej liczby mieszkańców i gdzie rozwój naturalnych w danych warunkach rodzajów przemysłu dosięgnął kresu. Zawsze jednak pilnie trzeba rozważyć, czy nakład ten, jaki czyni państwo z kieszeni spożywców, opłaci się w znaczeniu gospodarczem. W każdym zaś razie danina celna powinna jedynie wyrównać warunki współ-

---

odbytych przez każdego z nich, liczbę drzew ściętych i ociosanych. Napisawszy, wycinał nożyczkami kwity i dawał je oczekującym z dziwnem namaszczeniem robotnikom. Kurczowo zaciskali w rękach te świadectwa odbytej pańszczyzny, które mi zasłaniać się mieli przed nieubłaganymi ekonomami... Z początku dużo cierpiał na tem, że nie mógł prędko się załatwiać z obrachunkiem. Często od godziny ósmej wieczorem do dwunastej lub pierwszej w nocy przewlekało się pisanie kwitów. W pokoju powietrze przesycone wonią siermięgi, łyka, cuchnącem tchnieniem płuc, podłoga mokra od zabłoconych, wciąż drepcących łapci, wilgotno, duszno!.. Późno już, a jeszcze gromada ludzi w progu czeka. Żurba zgięty, z piersią przypartą do stołu, z mocno tętniącą krwią w skroniach, z uczuciem szczypania w głowie, pisze i nadążyć nie może. Brudna, zalegająca drzwi i błyskająca z pomroku iskrzącemi się oczami kupa ludzi niepokoi go i do rozpaczy doprowadza swym poszmerem zniecierpliwienia. W głowie się mąci, z rąk wszystko pada, swobodę myśli krępuje świadomość czyjegoś oczekiwania, niebawem rozlegnie się w powietrzu czyjś głos nagany... Rozdrażnienie ogarnia go od stóp do głowy, a tymczasem świdrujące ucho i wdzierające się aż w głąb mózgu skrzekotanie świerszcza dopełnia miary. Wtedy lada co gromy z piersi zdoła wywołać. Służąca przypomina Żurbie, że herbata lub wieczerza gotowa:

— A daj ty mi spokój! — huknie.

— Kiedyż bo herbata wystygnie, paniczu — tłomaczy dziewczyna.

— Niech stygnie!.. Idź do dyabła!..

„Panicz sierdzi się" — doleci jego uszu ode drzwi, ohydny szept! Ta uwaga robotników drażni go i oburza, bo jego dotyczy.

— Oj! paniczu, nie rano, do domu daleko...

— Zaraz, zaraz!.. Przecież nie pęknę... Mówię wam, że zaraz!..

Coraz głośniej i niecierpliwiej tupają. Mruczą, pocmokując i próbując znowu naglące słówko wymówić. Chłopiec kipi ze wzburzenia, miota się na nich w duszy o coś, oczekując co chwila nowego przynaglenia. Powietrze wydaje się jeszcze gęstszem od spodziewanych próśb o pośpiech.

— Och! paniczu, kiedy łaska, prędzej...

— Cóż to chamy! Dyabeł ja, czy co? Ze skóry nie wylezę!..

I zerwie się zaperzony.

Bywało czasem nieznośniej. Im więcej ludzi, zawilszy i dłuższy obrachunek. Niekiedy robotnicy aż stolika sięgają, sapiąc nad samem uchem.

Najcięższej Żurbie szło wobec zwierzchników. Pewnego dnia przyjechał doń nadleśniczy, Dobrogodzki, i był obecnym przy wydawaniu kwitów. Wystawić tylko sobie powyższe katusze z domieszką uczuć, doznawanych przez istoty podwładne komuś! Usiłował okazać się czemś doskonałem, a drżał na myśl nagany. Ludzie czekają, Dobrogodzki patrzy, a on musi obliczać i pisać. Z razu pod okiem człowieka wprawnego i naczelnika popadł w jakąś tępość chwilową i rozprzężenie. Kwitaryusz zarządu leśnego księcia Wirszajłły staje się zmieszanem Żurbie marą senną, napisał: „Karniej Piotrowy—dwadzieścia pięć sztuk," zamiast „czternaście." Dobrogodzki to spostrzegł:

— Omyłka, panie Żurbo, omyłka! Czternaście, nie dwadzieścia pięć!

— Ale paniczu — sokole! Czternaście...

Rozpacz! Niezawodnie uważany jest za niezdatnego do pełnienia takich obowiązków. Oto za chwilę powiedzą mu urągliwie: „nie umiesz liczyć, psujesz porządek—ruszaj sobie." Nie darowałby tego, ma dużo i ognia młodzieńczego dużo. I widzi już siebie, jak z piersią, rozdymaną żalem, broni godności własnej kipiącem słowem... W tej chwili Dobrogodzki — wróg jego. A poprostu sam jeszcze jest niedoświadczonym chłopcem.

Z czasem jednakże Żurba stał się panem siebie i prędzej załatwiał obrachunki. Wstawał zmęczony wprawdzie, lecz nie zlękany.

Płacono mu rocznie dwieście rubli i dawano „ordynaryę." Posługiwała dziewka

zawodnictwa wytwórców obcych i krajowych, i chyba tylko na początek stanowić dla nich pewne premium, wystarczające dla zachęcenia kapitalistów. Inaczej protekcyonizm wytwarza niedbalstwo, rutynę techniczną, osłabia inicyatywę, dla której najsilniejszym bodźcem w stosunkach dzisiejszych jest współzawodnictwo. Anglia dotychczas jeszcze sprzedaje wysortowane maszyny krajom, w których wysokie cła pozwalają przemysłowcom nie dbać o ulepszenia techniczne. Stopniowo cła powinny być zniżane i wreszcie zniesione. W Rosyi tymczasem widzimy wręcz przeciwny objaw: fabrykanci domagają się ciągle podwyższenia ceł. Przyczyną tego jest stwierdzony fakt, że zyski przedsiębiorców w różnych gałęziach przemysłu dążą stale do zrównania się i skoro tylko staną na jednym poziomie, właściciele kapitałów, które przynosiły wyżej niż średni dochód, domagają się nowych przywilejów. Jeżeli żądanie ich zostanie spełnionem, tracą na tem naturalne gałęzie przemysłu, obywające się bez opieki, ponieważ kapitał zwraca się do zajęć, dających większe zyski. Potrzeba podwyżki cła świadczy także nieraz o tem, że przemysł obcy, dzięki postępowi w technice, przechylił szalę współzawodnictwa na swoją stronę, miejscowy zaś wskutek protekcyi zagrzązł w rutynie, lub nawet cofnął się wstecz—bo i to bywa!

Przemysł żelazny, którego przedstawiciele zjechali się z całego państwa w Petersburgu, posiada u nas i w Cesarstwie wszelkie dane dla pomyślnego rozwoju, nawet bez opieki celnej, ponieważ ciężar wyrobów i—co za tem idzie—znaczny koszt przewozu stanowią już pewnego rodzaju premium dla wytwórców miejscowych. Zresztą rząd nie szczędził różnych środków dla podniesienia go; oprócz ceł bowiem, wydał miliony rubli na zamówienia, wsparcia lub pożyczki. Pomoc państwa nie przyniosła jednak oczekiwanych rezultatów, fabrykanci gonią tylko za zasiłkami skarbowymi i w znacznej części prowadzą zakłady swe niedbale. Ciekawy przykład rutyny przytaczają *Nowosti*. Żelazo rosyjskie nadaje się wybornie do wyrobu kotłów, ale wszystkie fabryki kują blachę zbyt małych rozmiarów i złego gatunku, zakłady kotlarskie więc muszą używać zagranicznej.

Należy dodać, że cło od wyrobów żelaznych winno być stosowanem w praktyce nadzwyczaj ostrożnie. Przemysł potrzebuje wielkiej ilości maszyn, których w państwie rosyjskiem nikt nie wyrabia. Przy wysokiem ocleniu tego rodzaju wyrobów zagranicznych różne gałęzie przemysłu ponoszą znaczne ofiary, miejscowi zaś fabrykanci nie zyskują nic zgoła. Nie mówiąc o maszynach tkackich i innych, zwrócimy uwagę na ten fakt, że drukarskie np. płacą wysokie cło. Ani dziś, ani za lat dziesięć, ani za sto może nikt nie będzie wyrabiał w Rosyi t. z. maszyn rotacyjnych, których fabrykacya istnieje w kilku jedynie punktach Europy, a jednak cło od jednej takiej maszyny wynosi kilka tysięcy rubli. Uczestnicy zjazdu nie brali na uwagę takich drobnostek i bez względu na interesy państwa i społeczeństwa zawsze na pierwszy plan wysuwali swoje samolubne życzenia. Dopiero kiedy popuszczono cugli wszelkim zachciankom osobistym, okazało się, że pomiędzy temi pożądaniami istnieją pewne sprzeczności. Nie dosyć bowiem, że każdy chciał wziąć jak najwięcej, pod tym względem można było porozumieć się, ale wyszło na jaw, że jeśli jednym będzie dodane, to innym musi być odjęte. Podwyższenie cła od maszyn rolniczych i od wyrobów żelaznych zagranicznych zatwierdzono prawie jednogłośnie, bo tutaj ciężar cały spada na spożywców, kiedy wszakże postanowiono zabronić przywozu surowca zagranicznego, powstała zacięta walka między producentami żelaza i właścicielami zakładów przeróbczych, które w znacznej części korzystają z materyału przywożonego. Dotychczas surowiec zagraniczny, jakkolwiek płaci 15 kop. od puda, współzawodniczy z miejscowym. Spotrzebowanie żelaza w państwie rosyjskiem wynosi rocznie 40 milionów pudów, miejscowa produkcya dostarcza tylko 25 milionów. Obecnie zjazd postanowił starać się u rządu, ażeby przywóz surowca ograniczony został w roku przyszłym do 10 mil. pud. i ilość ta corocznie ma się zmniejszać aż wreszcie po 7 latach nastąpi zupełny zakaz sprowadzenia materyału obcego. Taka reglamentacya przywozu pozwoliła by fabrykantom podnieść ceny według uznania, bo współzawodnictwo ograniczone ilościowo nie może mieć żadnego wpływu. Była by to nowa klęska dla rolnictwa, które i tak już zmniejsza zapotrzebowanie żelaza ze szkodą dla produkcyi zboża, co więcej także zapewne wpływa na zastój w tej gałęzi przemysłu, aniżeli współzawodnictwo obce.

Ten samolubny pomysł właścicieli zakładów uralskich powinien przekonać innych fabrykantów żelaza—nie o szkodliwości dla rozwoju przemysłowego wygórowanych ceł, bo o tem dobrze oni wiedzą—ale o niebezpieczeństwie wszelkich dowiadczeń protekcyjnych, w których ofiarą bywa najprzód spożywca a potem słabszy współzawodnik. Postanowienia zjazdu—to już nie samolubne dążenia interesu klasowego przedsiębiorców, ale po prostu drapieżne zachcianki samolubstwa, które pragnie tylko złapać co się da, bez względu nawet na własną przyszłość.

Pouczające zestawienie antagonizmu nienasyconych apetytów dają nam *Nowosti*. Jednocześnie ze zjazdem producentów żelaza odbył się zjazd górników w Charkowie. Panowie ci również „dla dobra przemysłu krajowego" postanowili starać się o nałożenie cła na węgiel kamienny zagraniczny. Oburzyło to niezmiernie właścicieli fabryk żelaza, którzy pragną jaknajtaniej kupować węgiel, zaprotestowali więc gorąco przeciw „niepatryotycznemu postępkowi" górników z południowej Rosyi. Bo, rozumie się, wyrazy „patryotyzm" i „obrona interesów ludu" powtarzały się aż do znudzenia we wszystkich mowach.

Podniesienie przemysłu żelaznego może iść tylko równolegle z wzrostem zamożności spożywców, której z pewnością cła żadne nie stworzą. Ulepszenie środków komunikacyjnych więcej daleko ułatwiłoby współzawodnictwo z materyałem obcym, aniżeli podwyższenie ceł. Gdyby zaś przywóz obcy nie zmniejszył się, to w kraju przeważnie rolniczym taniość żelaza ważniejszą jest od rozwoju lub nawet istnienia pewnej gałęzi przemysłu. Względy fiskalne nie przemawiają również za ograniczaniem wwozu; przy projektowanych bowiem cłach sprowadzanie maszyn zagranicznych zmniejszy się znacznie. Skarb straci więc dochód, nabywcy dostaną wyroby liche i drogie a przemysł nie rozwinie się bynajmniej, bo premium celne dla rutyny i partactwa—staje temu na przeszkodzie.

Spodziewamy się, że pożądania pp. fabrykantów żelaza znajdą energiczny odpór w ministeryum skarbu, którego kierownik kiedy był jeszcze profesorem, takie wygłosił zdanie o przemyśle żelaznym w Rosyi: „Pozostaje on dotychczas rośliną egzotyczną, wyhodowaną za pomocą środków

---

„od skarbu," do niej Żurba robił czasem umizgi nieśmiałe... Mieszkał pod strzechą dranicową z przyczółkami, siwozieloną od starości, w chacie, ani za niskiej, ani za wysokiej, zbudowanej z bierwion, w zręby. Na przyzbach często węże się kłębiły, posykując i szerząc smrodliwą woń siarki, przejmującą skórę mrowiem. Motruna codzień mu wnosiła samowar parskający parą, który go bawił swym szmerem, razem z wrzawą ptasią w przyległej izbie. O południu zastawiała obiad; Żurba, jedząc, drażnił ją lub szczypał w twarz, w piersi, w boki... Skomliła i zmykała, zasłaniając się rękami... Na tem się kończyły pragnienia krwi młodej, szalejącej najberdziej nocami i nabawiającej snów gorączkowych... Jeszcze wędzidła, włożone przez otoczenie rodzinne czyste i zdrowe, nie wymknęły się były mu wtedy. Z czasem pozbył się skrupułów, nim jednak to nastąpiło, nieraz, na myśl prośby... wykwitał rumieniec wstydu na jego owłosającej się twarzy.

Koledzy Żurby, jak Dubiński, Ciszkiewicz, Kłokocki i Samotya, prócz lania kul, czyszczenia strzelb i wymyślania od chamów, mieli skłonności do ciułania grosiwa; nie opuścili szmatka ziemi, wyznaczonej sobie przez księcia, żeby na nim czego nie posiać: prosa, kartofli lub kapusty. Żurba zaś, prócz zamiłowania w ptasznictwie, posiadał jeszcze jedno upodobanie. Zaledwie pierwszy pierwiosnek pojawił się w lesie i pierzchły hukliwe, suche wiatry marcowe, oporządzał cokolwiek około domu. Chata wyglądała, jakby ją ktoś przypadkiem, niosąc gdzieś, rzucił samotną, bez płotu, na polance dzikiej. Wszędzie, gdzie Żurba z rodzicami mieszkał, był dziedziniec, otoczony częstokołem, brama patrzyła w pole rzędem listew siwych, pod oknem astry zerkały swem łzawem od rannej rosy okiem i rezeda tuliła się śród krzaków kosaćców i floksów, dysząc wonią. Więc nierad z opuszczenia, znalezionego w „łosiej kniei," chwytał topór i rydel, a szedł grodzić. Od jednego węgła i drugiego, równolegle, zrobił dwa płoty z kołów dębowych, zakończywszy je trzecim, wprost okien części domu, przez siebie zamieszkanej. Leśnikom kazał skopać ziemię, a potem na grzędach pielęgnował rezedę, floksy, kosaćce, lewkonie i astry. Obwiódł na kilka staj od ganku kawał duży trawnika częstokołem, własną ręką zrobił dwuskrzydlną, o skrzypiących wrotach bramę, zamykał ją na kłódkę pod wieczór i zadowolony chodził po dziedzińcu, niby w twierdzy jakiejś, upajając się ładem, stworzonym przez siebie i zapachem kwiatów. Motruna miała zwyczaj na kołach płotu wieszać świeżo wyparzone liśćmi olchowymi skopce, dojnice lub „cedziłki" prane. Fukał na nią za oszpecanie ogródka.

Samotya, Dubiński, Kłokocki i Ciszkiewicz, zastawszy go przy kwiatach, śmieli się z jego upodobania, nazywając „panienką." Na jego miejscu, woleliby kapusty nasadzić.

— Ładne kwiaty!—dolatywało jego uszu, gdy pochylony był nad kląbem, słowo chłopa jakiegoś, wspartego o płot. Lepiej, paniczu, kazalibyście Motrunie buraków ta marchwi nasiać...

— Głupi jesteś z marchwią! Co ty wiesz? Nie nie wiesz...

Wewnątrz i zewnątrz domu znajdował zawsze coś do poprawienia lub przerobienia. Długo patrzył krzywo na kominek i piec wymurowany przez poprzednika swego, aż nie wytrzymał i, przywoławszy zduna wiejskiego, kazał mu przemurować inaczej. Kominek powinien był stać się spadzistszym u góry i po bokach, a ciąg mieć taki, żeby ogień huczał, jak w piecu kowalskim.

Dobrogodzki dobrze usposobiony względem Żurby, chwalił go za porządek w domu i około. Widząc zaś w tem znamię bogatej natury chłopca, miał dlań szacunek.

(D. c. n.).

Z. (Komar) Piętkiewicz.

sztucznych, bez których obejść się nie może. Główną przyczyną tego stanu jest, że rząd i fabrykanci widzą jedyny sposób rozwoju przemysłu w taryfach protekcyjnych i zakazowych, mało dbając o opiekę racyonalną nad temi gałęziami wytwórczości, które najlepiej odpowiadają przyrodzonym właściwościom kraju.“

J. P.

Z GALICYI.

Lwów, 20 grudnia 1885.

Zgodny chór. — Stała formułka. — Narady przemysłowców rolników i rękodzielników. — Wysoka szlachta.

Jesteśmy widocznie zagrożeni na wszystkich już posterunkach! W ciągu dni kilkunastu przesunęli się przed naszemi oczyma kolejno: przemysłowcy, rolnicy, rękodzielnicy a wszyscy zgodnym chórem domagali się ratunku, pomocy. Nie brak było zgodności także i w innych punktach. Na nadmiar ciężarów podatkowych narzekali wszyscy bez wyjątku; toż samo na brak koniecznej ze strony rządu ochrony dla produkcyi krajowej. Skargi te powtarzają się ciągle, a jako lekarstwo dla zaradzenia złemu wynaleziono nawet stałą formułkę, którą każde zgromadzenie z zapałem uchwala. Brzmi ona (jeżeli sprawa idzie przed sejm): „Wysoki Sejm raczy uchwalić: Wzywa się ces. król. rząd, ażeby w celu ochrony produkcyi krajowej wydał odpowiednie rozporządzenia i czuwał nad ich ścisłem wykonaniem.“ Wyborny ogólnik, nadający się do użytku przy każdej sposobności, a snać bardzo pomocny, bo coraz częściej używany. Zgromadzenie członków towarzystwa naftowego a następnie i wiec rolniczy posługiwał się nim bez końca. Tylko rękodzielnicy lwowscy poszli odmienną nieco drogą. Uchwalili także, co prawda, prośbę do rządu za pośrednictwem sejmu, ażeby nie zatrudniano więźniów pracami, które czynią ujmę zarobkowaniu ludzi wolnych, ale na pierwszem miejscu stała prośba do „Wysokiej Szlachty“ (tak jest!), ażeby wszelkie wyroby rękodzielnicze zakupowała w kraju i nie wspierała przemysłu i rękodzieł zagranicznych. Co za dziwna i straszna ironia losu, jeżeli zważymy, że na dwa dni przed tem zgromadzeniem, w tej samej sali owa „wysoka szlachta“ dla siebie domagała się ratunku u... wysokiego (także) rządu... Znamienny to rys naszego społeczeństwa nieporadność, szukanie pomocy po za sobą a nie w sobie. Czy też kiedy się wyleczy z tej niewątpliwie chorobliwej przypadłości? Chcę temu wierzyć.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY KRAKOWSKIE.

3 stycznia.

Projekty na pomnik Mickiewicza. — Nowe błazeństwo stańczyków. — Paszkwile. — Latarnia prof. Wróblewskiego.

Zapowiedziany przez panów rzeźbiarzy, wykonywających plastycznie projekt Matejki na pomnik Mickiewicza, termin ukończenia i wystawienia prac swych na widok publiczny przedłuża się w nieskończoność. Prawda, że pp. Rieger i Gadomski przedsięwzięli odrobić model w formie niezwykłej, bo piątą część rzeczywistej wielkości pomnika wynoszącej, i że wskutek tego potrzebują znacznego czasu, zdawałoby się jednak, że zajmując sale w gmachu Szkoły sztuk Pięknych, na czas wakacyi udzielone, winni byli pospieszyć się ze względu na potrzeby studyów szkolnych, oddawna już rozpoczętych. Obaj artyści otaczają swe dzieła tajemnicą, niedostępną prawie dla nikogo. Niech mi będzie wolno uchylić nieco tej tajemnicy i oznajmić, że projekty są już na ukończeniu, że odlane prawie całe z gipsu i że brak jeszcze tylko tu i owdzie dopełnień. O Welońskim dochodzą wiadomości z Rzymu, że również pracuje nad modelem, nieskrępowany pomysłem Matejki, ale niewiadomo, co to za praca i jak daleko posunięta. Pomimo nawoływań i zapewnień kilku członków komitetu centralnego, że szkic Matejki—to tylko pierwszy rzut myśli mistrza, który dużo przerobi i zmieni, w projektach rzeźbiarzy krakowskich nic nie zmieniło się w zasadzie; postacie, ich układ i charakterystyka są te same a drobne zmiany odnoszą się do usunięcia poręczy krzesła, zniesienia sławnej sowy i obniżenia postaci kobiety słuchającej i trzymającej lampę. Przeciwnie zaś, plastyka odkryła błędy, które nas w szkicu nie tyle raziły, ile obecnie. Mickiewicz pozostał siedzącym i obnażonym do połowy dziwolągiem, jak był—z głową grzywiastą, wzniesioną w górę i ruchem rąk nerwowym; tylko w dodatku lekkie linie rysunku Matejki przemieniła rzeźba na ciężką draperyę dolnej części figury, z pod której bose stopy poety sterczą dziwnie nieprzyjemnie. Rozpięte skrzydła orła w twardych liniach spotykają się z giestykulacyą rąk, klęczącego nad nim geniusza. Jak było do przewidzenia, próba będzie niefortunna, i nasuwa się pytanie: po co było używać do niej trzech artystów, których, bądź co bądź, zapłacić wypadnie, aby mieć trzy jednakowe rzeczy, bo mistrz na zmiany wykonawcom swej myśli nie pozwolił. Wybaczając już w zupełności podkomitetowi, wybranemu w kwietniu dla projektu Matejki, gruby grzech, iż z pominięciem centralnej władzy poczynił znaczne wydatki, o 2.100 zł. austr. zmniejszające niepotrzebnie kapitał pomnikowy, wątpimy, czy uda się tym panom, co gwałtem zażegnywali Dykasową burzę szkicem Matejki, wmówić następnie w naród, żeby wedle nowego projektu jednego z rzeźbiarzów zgodzonych postawił pomnik golemu Mickiewiczowi i jego mitologicznej kompanii. Wolno artystom otwierać podwoje Olympu i przedstawiać sceny z życia bogów, ale niepodobna nazwać tego wyrazem uwielbienia dla narodowego poety, który żył w XIX wieku. Czeka nas więc nowy akt nieskończonej farsy za własne pieniądze.

Jak zresztą przesadzoną i fałszywą jest wiara, iż Kraków stanowi ognisko czci dla Mickiewicza, świadczy o tem zachowanie się przywódców całego obozu stańczykowskiego, a przedewszystkiem profesorów, wobec wieczoru, urządzonego przez Czytelnię akademicką. Dzienniki aż do znudzenia rozebrały tę sprawę, która byłaby w istocie błahym małomiasteczkowym zatargiem, gdyby wielkie imię poety nie łączyło się z jej przebiegiem. Wbrew krzykliwym uniesieniom, głoszonym ciągle — znaleźli się pp. profesorowie w chwili uroczystej poprostu nieprzyzwoicie, bo to było potrzebne dla potępienia zasad wyznawanych przez poważne koło młodzieży uniwersyteckiej. Bez wahania zaparli się czci poety, by zaspokoić swe despotyczne zachcianki. Prócz Mikulicza, dyrektora chirurgicznej kliniki, który przypadkowo zabłądził na salę wieczorem, ani jeden z mistrzów nie wziął udziału w obchodzie. Co więcej — prorektor Rydel skonfiskował mowę, którą nowo obrany prezes Czytelni, Gustaw Piotrowski, za niebezpiecznego uznany, miał publicznie wygłosić. Dzięki przypadkowi rękopis tej mowy przeczytałem i tem śmielej mogę twierdzić, iż jaskrawością wywodów nie dorastała do przemówień poprzednich. Przekonania postępowe, lecz legalne, oceniane bez jadu, powinny były raczej ująć kontrolera, gdyby ten dbał o przyszłość młodzieży więcej, niż o tryumf swego obozu—tyle było w nich praktycznej wartości i realnego, trzeźwego sądu. Ale nie o rzecz szło, lecz o osobę i o chwilę. Stał się gwałt, pełen nieczystej intencyi, ujawniła się niechęć dla drogiego młodym święta poezyi. Młodzież zrozumiała całą brzydotę zachowania się władzy i wymownem milczeniem odpowiedziała na postępek profesorskiego ciała. Było to silniejszym, niż wszelkie „kocie muzyki,“ dowodem rozgoryczenia i utraty złudzeń. Za to przeciw młodzieży tej wylała się cała powódź paszkwilów z konserwatywnej prasy. Czytaliśmy wszyscy artykuły cięte i pieprzne, pełne sarkazmu a godne rewolwerowych organów. Była to kampania profesorów, panów katedr pierwszej polskiej wszechnicy przeciw własnym uczniom—coś dziwnie niezwykłego a swoistego! Po panach zaczęli dogryzać kości lokaje. Echa potwarcze rozległy się po takich zlewach, jak *Bicz*, tygodnik satyryczny. Duszą tego pisemka jest jeden z aktorów krakowskiej sceny. Obawiano się więc wygwizdania tego aktora przez młodzież w czasie przedstawienia i ubezpieczono go policyjnie, narażając się na śmieszność godną przysłowiowych nożyc na stole, bo nikomu nie śniło się nawet o wyrządzaniu histryonowi scen godnych przeciwnika na forum. Ale zawsze tak jest, jak w wierszyku Rodocia: „Literaci od stańczyków—to męże ambicyi. W razie jakich na nich krzyków—wołają policyi.“

Słyszałem, czy też czytałem gdzieś, że w święta Bożego narodzenia chodzi we Francyi od domu do domu człowiek z latarnią magiczną ku wielkiej uciesze dziatwy. I u nas zwyczaj ten wszedł w życie pod koniec zeszłego roku. Profesor uniwersytetu Wróblewski, który ostatecznem zamknięciem kwestyi skraplania gazów zyskał sobie sławę w całym świecie naukowym, a rozgłos—znanym powszechnie sporem z fizykiem francuskim Jaminem (czytaj Cailletetem)—u nas zaś z prof. Olszewskim i Czyrniańskim — obdarzył śmietankę krakowskiej inteligencyi naukowej i nienaukowej przedstawieniem bardzo ciekawej latarni czarnoksięskiej. Zapomocą motoru gazowego, maszyny dynamoelektrycznej, lampy elektrycznej i odpowiednio zestawionych soczewek W. rzuca na biały ekran obrazy przedmiotu umieszczonego w latarni, powiększone do 900 razy, w barwach naturalnych... lecz zawsze odwrócone. Pokazywał prof. W. rozmaite rzeczy, preparaty mikroskopowe, anatomiczne okazy itp. przy pomocy zaś niedawno mianowanego profesora fizyologii Cybulskiego uwidoczniał krążenie krwi w kresce żaby, bicie serca i skurcz mięśni. Metoda ta, którą już zresztą posługiwano się gdzieindziej przy publicznych wykładach, używając tylko zamiast elektrycznego—światła Drummonda, ulepszona jednak znacznie przez prof. W. ma tę wielką zaletę, że badanie i oglądanie przedmiotów naukowych uprzystępnia równocześnie ogromnej liczbie osób. Również objaśnianie okazów staje się dogodniejszem. Nie brak wszakże i stron ujemnych. Urządzenie jest za kosztowne—zwłaszcza dla nas, gdzie uniwersytety są licho wyposażone a liczba słuchaczów nie zbyt wielka. Profesor W. jest w tem szczęśliwem położeniu, że rozporządza motorem gazowym, którym się posługiwał przy innych pracach—nie potrzebował go więc umyślnie w tym celu nabywać. Jako zaś profesorowi fizyki przy wykładach jest on zgoła zbyteczny, bo ten rodzaj doświadczeń fizycznych dostępny bywa dla znacznej liczby słuchaczów i bez tego środka. Te znowu zakłady, którym powyższe urządzenie przydać by

się mogło—jak anatomiczny i patologiczny—nie posiadają funduszów na najniezbędniejsze nawet nieraz wymagania. Jeszcze jedna ujemna strona: zbytnie gorąco przyrządu topi substancye, w których preparaty drobnowidzowe są zatopione, a w ten sposób udaremnia trwałość pracy.

Odczyt powyższy o używaniu światła elektrycznego przy robotach naukowych w ogólności, a o projekcyach na odbitem świetle w szczególności, połączony z doświadczeniami, byłby bardzo stosowny dla kółka ludzi ukształconych, lecz chciwy sławy profesor pospraszał różnych dygnitarzy, przedstawicieli władz politycznych i miejskich, kronikarzy i duchownych, słowem przeważnie ludzi, siedzących na odczycie jak na tureckiem kazaniu, dla których równie zajmującą byłaby magiczna latarnia Melliniego lub wesołe obrazki w stereoskopie. Obniża to powagę pomysłu, a nie przystoi zasłużonemu badaczowi. Mimowoli nasuwało się podejrzenie o chęć szukania reklamy, tem więcej, że miejscowe dzienniki w śmieszny i przesadny sposób apoteozowały Wróblewskiego, jako nowożytnego Feba, bożka światła, a którykolwiek katolicki organ nazwie go z pewnością niedługo patronem od latarni.

W. P.

LITERATURA I SZTUKA.

PIŚMIENNICTWO RUSIŃSKIE.

Lwów, 5 grudnia.

Koniec roku przyniósł nam parę nowych wydawnictw, godnych uwagi. Przedewszystkiem ks. Łukasz Bobrowicz zaczął wydawać czasopismo *Ruś*, w duchu narodowo-katolickim. Pierwszy numer przedstawia się wcale przyzwoicie: język czysty rusiński, niektóre artykuły opracowane z niezaprzeczonym talentem, jak np. krytyka programu nowego politycznego towarzystwa „Narodna Rada" i uwagi o czasopiśmie „Nauka."

P. Aleksander Barwiński, nauczyciel w seminaryum tarnopolskiem przystąpił do bardzo ważnego wydawnictwa—historyi rusko-ukraińskiego narodu w monografiach Kostomarowa, Antonowicza, Oresta Lewickiego, Szaraniewicza i innych uczonych. Wydawnictwo to w rusińskim języku i systematycznie uporządkowane obejmuje około 20 sporych tomów, a jeżeli będzie umiejętnie do końca doprowadzone, może potężnie przyczynić się do podniesienia świadomości narodowej społeczeństwa rusińskiego.

Zaznaczyć także winienem dalsze tomy wychodzącej przy *Dile* „Biblioteki najznakomitszych powieści." Obecnie drukuje się jej tom dwudziesty. W ubiegłym roku wyszły cztery, w których zamieszczono: „Dwa miasta," historyczną powieść Dikensa (tłom. M. Pawlik), „Ojciec Goriot" Balzaka (M. Podoliński), „Książe srebrny" Tolstoja (M. Pawlik), i zbiór nowel: „Ślepa" Wagnera, „Cztery dni" Garszyna, „Melina" Bret-Harta (I. Franko), „Napad na młyn" Zoli (I. Franko) „Szkice węglem" Sienkiewicza (S. Krutio i I. Bełej), „Nello i Putrasz" Ouidy (B. Kirczow) i „Chore serce" Dostojewskiego (I. Franko). Obecnie drukuje się znakomita powieść Alfonsa Daudeta „Nabab" w tłomaczeniu M. Podolińskiego.

Literacko-naukowe czasopismo *Zorja*, przeszedłszy od prof. Partyckiego na własność Towarzystwa im. Szewczenki i pod redakcyę dr. Emila Kalitowskiego, młodego historyka i ucznia prof. Liskego, zapowiada w świeżo ogłoszonym prospekcie kilka ciekawych i ważnych prac, przedewszystkiem systematyczny przegląd literatury rusińskiej, pióra prof. Em. Ogonowskiego; dalej szkice z historyi społecznych literatur słowiańskich, pisane przez różnych współpracowników z innych narodowości; szkice o życiu i literaturze żydów galicyjskich, a z belletrystyki obszerną powieść zmarłego A. Świdnickiego, drugą większych rozmiarów pani O. Periłki, prace Neczuja Lewickiego, Myrnego, Mordowcewa, Koniskiego, Ceglińskiego, Franka itp.

Pojawił się tu (i zaraz uległ konfiskacie) pierwszy numer humorystyczno-satyrycznego pisemka *Strachopud*, wtorującego znanym tendencyom *Słowa* i *Prołomu*. Drugi nakład pierwszego numeru rozesłany czytelnikom przedstawia się dość nędznie: ani idei, ani dowcipu, ani satyry — *weder Salz noch Schmalz.*

Skończył się też pierwszy rocznik całkiem bezcelowego wydawnictwa p. Łużnickiego „Biblioteki ruskich pisarzów." P. Łużnicki zamierzył zdziwić świat galicyjski, podając mu w doslownych, dosyć nędznych przedrukach: Puszkina, Gogola, Turgeniewa i Lermontowa, jako *swoich, ojczystych*. Do każdego zeszyciku tych ojczystych pisarzów p. Ł. widział się zmuszonym dodać parę kartek słownika, tłomaczącego język ich na rusiński. Tym słowniczkiem (jako też bardzo małą popularnością swego przedsięwzięcia) dowiódł jedynie; 1) że publiczność, dla której przeznaczył swoje wydawnictwo, pisarzy owych nie rozumie, 2) że i sam on wcale nieszczególnie ich zna. Nie trzeba zresztą dodawać, że wobec silnie rozwiniętego handlu księgarskiego w Rosyi, dzieła tych pisarzy w wydaniach petersburskich i moskiewskich obok lepszej korekty są dla każdego galicyanina daleko tańsze, niż w nakładzie Łużnickiego, którego cały Turgeniew (jeżeli kiedy wyjdzie) kosztować będzie co najmniej 50 rubli, podczas gdy obecnie można go tu mieć za 12—15 guldenów.

Myron.

PIŚMIENNICTWO NIEMIECKIE.

J. Frohschammer **Ueber die Organisation und Cultur der menschlichen Gesellschaft.** Monachium, 1855, str. 461.

Autor, profesor uniwersytetu monachijskiego, należy do tych filozofów niemieckich, którzy, rozbierając między siebie różne władze i własności ducha ludzkiego, usiłowali oprzeć na którejkolwiek z nich jakiś własny, oryginalny „system." Ta pogoń za nowym „systemem" jest niezmiernie zaraźliwą chorobą filozofii niemieckiej, która jej zawdzięcza wiele nowotworów i dziwolągów. Frohschammer, nienajszczęśliwszy w tem przedsięwzięciu, wybrał sobie „fantazyę" za twórczy i „zasadniczy pierwiastek świata" i tej teoryi poświęcił osobne dzieło. Wykończając swoją „budowę," napisał w dalszym ciągu pracę obecną. Zajmuje się on: prawem, państwem, życiem społecznem i wychowaniem. Najwięcej stronic przeznaczył autor rodowodowi prawa. Według niego, wyrasta ono z wewnętrznej natury człowieka, nie zaś z siły, samowoli lub umowy. Równie jak moralność jest ono objawieniem się idei, spoczywającej w istocie ludzi. Wydobywa ją i wciela „fantazya świata" naprzód w przeciwstawieniu płciowem, później w rodzinie, a nakoniec w społeczeństwie.

Ani w tym wywodzie, ani w następnych, dotyczących organizacyi społecznej i wychowania, nic nowego, a przynajmniej głębokiego nie spotykamy. Frohschammer — jak tylu jego braci w filozofii—stroi tylko stare prawdy lub komunały w nową sukienkę. Dodać winniśmy, że przez wątek swych rozumowań przeciągnął nić wstrętu do katolicyzmu i papiestwa.

P. F. Aschrott **Das englische Armenwegen.** Lipsk, 1885, str. 450.

Książka ta wyszła jako część niezmiernie cennego dla ekonomiki wydawnictwa *Staats- u. socialwissenschaftliche Forschungen*, pod redakcyą Gustawa Schmollera. Jest to możliwie najdokładniejszy, historycznie nakreślony obraz urządzeń, praw i zakładów dobroczynnych w Anglii ze szczególnem, naturalnie, uwzględnieniem stanu obecnego. Wiele obowiązków z tej dziedziny ciąży nam na sumieniu, wielu węzłów nie umiemy u siebie rozplątać, ale jeżeli róg obfitości, z którego sypiemy projekty, niema zawierać słów pustych lub życzeń nigdy nieurzeczywistnionych, powinniśmy wiedzieć, co na tem polu zrobiły narody rozumniejsze i dojrzalsze. Zwłaszcza ciekawe są w książce Aschrotta środki, stosowane przez anglików przeciw zawodowemu żebractwu.

Ferd. Gilles **Arbeitsrecht u. Bodenreform.** Lipsk, 1885, str. 48.

Bismark w jednej ze swych mów parlamentarnych uznał „prawo do pracy." Co on przez to rozumiał — nie wyjaśnił i wyjaśnić nie mógł, bo albo zaszedłby dalej, niż chce, albo też uwikłałby się w sprzeczności. Był to więc z jego strony frazes, jakich wiele ciska. Frazesu tego uchwycił się jednak autor, znany demokrata, i zamianował kanclerza reformatorem społecznym. Według Gillesa, „prawo do pracy" jest prawem natury, prawem do istnienia ludzkiego. Zginęło ono w ustawach rzymskich, trzeba je wskrzesić w nowych (zaszczepionych na pniu staroniemieckiem). Autor zajmuje tu stanowisko niemieckiej „partyi ludowej" (Volkspartei), a chociaż głównie ma na oku stosunki miejscowe, na sprawę samą, obchodzącą cały świat ucywilizowany, rzuca dużo światła.

L. Noiré **Logos.** Lipsk, 1885, str. 362.

Litera — powiada autor — zabiła językoznawstwo, które zatopiło się całkowicie w badaniu głosek mowy, zapominając o jej duchu. Z tej jednostronności wynikły bądź skąpe rezultaty, bądź błędy. Dopiero dwaj ludzie rozszerzyli tę umiejętność i dali jej filozoficzną podstawę: L. Geiger i M. Müller. Rozwijając dalej ich pracę, pod przewodnictwem Kanta, wykłada Noiré gienezę, organizacyę i wewnętrzną treść *Logosu*. „Czego Schleiden i Schwann dokonali dla istot organicznych, odkrywając komórkę i jej przekształcenia dla przejęcia ogólnych funkcyj życia, to zrobić trzeba na polu duchowem przez udowodnienie powstania i istoty *pojęć ogólnych*, prawdziwych pierwiastków komórkowych wszelkiego myślenia. Kant pisał: „Pojęcie o psie oznacza regułę, według której moja wyobraźnia może narysować ogólnie postać zwierzęcia czworonożnego, nie ograniczając się żadnym pojedynczym okazem podanym przez doświadczenie, lub jakimś wizerunkiem. Ten szematyzm naszego rozumu, we względzie zjawisk i ich samej formy, jest sztuką ukrytą w głębiach duszy ludzkiej, której prawdziwych sposobów nie wykradniemy zapewne naturze i nie wydobędziemy na jaw." Rozwiązanie właśnie tego zagadnienia przedsięwziął Noiré. „Wzrost języka, jak rozwój wszelkich organizmów, odbywa się z pojedynczego zarodka, który, kształcąc się, wytwarza rozmaitość, odpowiadającą idei organizmu i jego zewnętrznych warunków życia. Rozmaite rodzaje pojęć, demonstratywne, logiczne części mowy powstają z natury języka, nie rozwijając się wszakże z niczego, z rosy niebieskiej — jak mówi poeta — lecz z już istniejącego, uorganizowanego materyału." Przyjmując tedy treść mowy i myślenia za podstawę do objaśnienia budowy i ustroju

języka, autor wykłada *Logos* w następujących rozdziałach: pojęcia ogólne — znak — obraz — znak i obraz — język i sztuka społeczna — wzrok i słuch — określanie— pojęcie — predykatowe części mowy — funkcye logiczne w języku — przenośniowe (metaforyczne) życie języka — początek pojęć w przeciwstawieństwie — zmysłowość i myślenie — teorya logosu. „Łączenie wyobrażeń z wyobrażeniami, pojęć z pojęciami, sądów z sądami stanowi prawdziwą istotę myślenia, wszystko to zaś jest *logos*, i dlatego teorya moja zasługuje na miano *teoryi logosu*“—tak kończy Noiré swą książkę.

Karol Scherzer **Das wirtschaftliche Leben der Völker**. Lipsk, 1885, str. 756.

W krótkiej notatce zaledwie słabo możemy dać wyobrażenie o tem wielkiem dziele, którego autor zamierzył ogarnąć całe życie ekonomiczne narodów, całą ich produkcyę i konsumcyę. Naprzód zastanawia się nad roślinnymi materyałami żywności i fabrykacyi, dalej nad użytkami królestwa roślinnego, nad produktami mineralnymi, następnie mówi o chemikaliach do celów przemysłowych, o siłach mechanicznych, o udziale pojedynczych ludów w handlu świata, o pieniądzach i kredycie, o drogach i środkach handlu międzynarodowego, wreszcie o powszechnem gospodarstwie ekonomicznem, o wychodztwie i kolonizacyi. Wszystko to Scherzer przedstawia z pomocą tablic statystycznych, tak dalece zaś sięgnął do ostatnich czasów, że wykazuje nawet znaczenie telefonii. Nie potrzebujemy zapewniać, że jego obliczenia i zestawienia są bardzo pouczające i ciekawe. Przytoczymy jeden rachunek porównawczy. Na całej kuli ziemskiej wychodzi (łącznie z kalendarzami i almanachami) przeszło 34,200 czasopism z nakładem rocznym 1,100 milionów egzemplarzów. Na Europę przypada 20,000 druków peryodycznych, na Amerykę północną 12,500, na południową 700, na Azyę 800, na Australię 700, na Afrykę 200. Pierwsze miejsce zajmuje w nich język angielski (16,500), drugie — niemiecki (7,400), trzecie — francuski (3,900), czwarte — hiszpański (1,600).

Ile rozmaite kraje zużytkowują rocznie papieru dla druku czasopism i książek? Wielka Brytania z Irlandyą na głowę za $9_{,10}$ marki (według obecnego kursu rs. 4 k. 55), Francya $6_{,38}$, Niemcy $5_{,70}$, Belgia $5_{,02}$, Szwajcarya $4_{,93}$, Holandya $3_{,23}$, Szwecya, Norwegia i Dania $2_{,55}$, Włochy $2_{,21}$, Austro-Węgry $2_{,13}$, Portugalia $1_{,53}$, Hiszpania $1_{,28}$, Rosya $0_{,77}$ (według obecnego kursu około 37 kop.).

Potęgę umysłowej wytwórczości niemieckiej zmierzy czytelnik z następujących cyfr: W r. 1883 wydano książek i broszur: dzieł zbiorowych, historyi literatury, bibliografii 831, teologii 1,504, prawa, polityki, statystyki, handlu 1,301, medycyny, weterynaryi, przyrodoznawstwa, chemii, farmacyi 832, filozofii 142, pedagogiki, gimnastyki i podręczników szkolnych 1,691, dla młodzieży 386, filozofii klasycznej, starożytności, mitologii i języków wschodnich 609, języków nowych i literatury staroniemieckiej 501, historyi życiorysów, pamiętników, korespondencyj 795, geografii, podróży 290, matematyki, astronomii 221, sztuki wojskowej, podręczników handlowych, przemysłowych itp. 671, poezyi, powieści, dramatów itp. 1,207, stenografii 615 (!) — itd., itd. Do porównywania się z tym ogromem chyta nikt z nas niema ochoty.

G. Cohn **System der Nationaloekonomie**. Sztutgart, 1885, tom I, str. 649.

Profesor uniwersytetu getyngskiego podjął zadanie naukowo dość skromne: „w systematycznej jedności przedstawić to, co dziś rozumiemy pod nazwą gospodarstwa społecznego (Nationaloekonomie) jako nauki *etycznej*.“ Ostatni ten wyraz jest barwą autora, która, w braku wyraźniejszej— jak np. manchesteryzm, socyalizm itp. — może posłużyć za znak odróżniający. Zresztą profesor, który widocznie miał na względzie wygodę swych słuchaczów, uwolnionych od zapisywania lekcyi, i własną z licznej rozprzedaży dzieła, przyznaje się otwarcie do chęci „pogodzenia różnorodnych kierunków.“ Jest więc „eklektykiem“ w ekonomice.

Wydany dotąd tom pierwszy, obok zasadniczych objaśnień i krótkich, bardzo nieraz płytkich sądów o teoryach poprzednich, zawiera wywody: o naturze, zaludnieniu, pracy, kapitale, kształtowaniu się życia społecznego, produkcyi, handlu itd. Wykład jasny i lekki, niemal rzec można — wesoły.

KRONIKA LWOWSKA.

Teatr dał nam kilka nowości. Utrzymał się na scenie jedynie *Kuryerowicz* Blizińskiego, dzięki wybornej charakterystyce kilku prawdziwie swojskich postaci. Autor podobno przerabia drugą część tej komedyi, zgoła niewłaściwem mianem ochrzczonej; może podniesie w przeróbce wartość artystyczną sztuki, grzeszącej pod tym względem bardzo ciężko. *Żona cudzoziemca* Podgórskiej nie zasługuje na uwagę. Jest to dramat okolicznościowy, napisany widocznie pod wpływem wrażenia, wywołanego edyktem pruskim; niemcy mają dla tego rodzaju robót osobną dosadną nazwę: *ein Machwerk*. Wcale nieszczęśliwą jest także przeróbka utworu Sienkiewicza *Ogniem i mieczem*, dokonana przez p. Pobóg. Ci, którzy czytali powieść, mają sporo żalu do autora przeróbki dramatycznej, bo daje im zgoła co innego, usuwając ze sceny i walki kozacko-polskie i księcia Jeremiego, tudzież towarzyszów Skrzetuskiego (Wołodyjowski i Podbipiętą tylko w pierwszym obrazie się ukazują i to blado); inni zaś, nieznający powieści, nie mogą się zachwycać kilku luźnie powiązanymi obrazami, których najsilniejszym łącznikiem jest chyba wiecznie jęcząca Helena. To też nie dziw, że sztuka nie cieszyła się wcale powodzeniem. Nie miał szczęścia tym razem i Rzewuski Stanisław. Jego *Doktor Faustyna* raz tylko ukazała się oczom tutejszej publiczności; zabił ją straszny pesymizm, cechujący całe dzieło, w którem brak było choćby jednej pogodniejszej nuty, jaśniejszego promienia.

Oryginalnych dzieł w tych czasach więcej nie było. W styczniu mamy ujrzeć a raczej usłyszeć nową operę polską Jareckiego p. t. *Jadwiga*. Zresztą z powodu „ciężkich czasów“ żyjemy przeważnie tylko operetką, która jako tako rozwesela stroskane umysły. Znany i wam już *Gasparone* ratuje kasę; na innych przedstawieniach przerażające pustki—chyba zjawi się Mierzwiński lub (co we Lwowie mniej więcej na jedno wychodzi) jakiś antispirytysta—np. obecnie „profesor“ Robert.

W literaturze także nie wiele mam do zaznaczenia. *Maryla* Bełzy i *Przesilenie* Łubieńskiego już wam znane. Wspomnieć mogę chyba, że zbiorowe wydanie *Dzieł Schillera* (nakład księgarni Altenberga) już zostało ukończone; szkoda, że odwiecznych tłomaczeń Kamińskiego nie zastąpiono lepszemi. *Mickiewicz* w nowej, nie bardzo odmiennej szacie (u Gubrynowicza i Schmidta), pięć tomów *dzieł Lama*, wreszcie nader ciekawe *Repertoryum czynności galicyjskiego sejmu* hr. Koziebrodzkiego i 2 zeszyty *Wiadomości statystycznych* z dziedziny przemysłu krajowego, o których nie omieszkam wkrótce zdać sprawy, zamykają skromną tę rubrykę.

Leszek.

TEATR.

Opera.

Długo, bardzo długo dyrekcya teatrów warszawskich błyskała nam nadzieją wystawienia pracy największego z muzyków— *Wesela Figara* Mozarta. Wyznajemy, że w tych obietnicach, ciągle niespełnianych, było dużo okrucieństwa. Dla ludzi, dla których dzieła klasyczne nie są jedynie cennemi rupieciami, lecz wzorami pięknymi, każda opera Mozarta jest źródłem niecodziennych rozkoszy, a wystawiona na scenie uroczystem świętem artystycznem. Dalej posunięty zachwyt może już być tylko kwestyą osobistego gustu, nie wymierają jednak, owszem, mnożą się ludzie, którzy w geniuszu Mozarta widzą dotąd szczyt twórczości muzycznej. I ci właśnie byli najbardziej udręczeni niespełnianemi zapowiedziami.

No, ale wreszcie odśpiewano na scenie naszej *Wesele Figara*. Co ja powiem nowego o tej boskiej operze, jaki wieniec nowy złożę na grobie jej twórcy? Uczczono go już chyba każdem zaszczytnem słowem, jakiem język ludzki rozporządza. Nie potrzebujemy więc ani stwarzać kultu, ani do niego niewiernych nawracać. Winniśmy tylko ocenić wykonanie. Nie było ono świetnem, ale było bardzo starannem. P. Seideman (Figaro), nawykły do ról dramatycznych, śpiewów szerokich, nie zdołał z początku wpaść w ton Mozartowskiej muzy, wkrótce wszakże rozgrzał się ciepłem właściwem. A to nie łatwo, zwłaszcza ciężkiemu basowi, który musi zdobywać się na zefirową lekkość. Nie miała do pokonania tych trudności p. Szlezygier, ale miała inna—w naturze, skali i wyrobieniu swego głosu. Trzeba wszakże przyznać, że swoimi środkami dokonała wiele. P. Machwitz była Cherubinem dość sympatycznym—inni zaś również wywiązali się z zadania sumiennie.

Teatr krakowski.

Teatr krakowski wciąż jeszcze przechodzi okres usiłowań — dyrekcya zaś, zgłębiając smak publiczności, w ustawicznej pogoni za napełnieniem kasy, potyka się o niewidziane trudności, jak: obojętność, brak nowych utworów itp. Po chybionych próbach zrobienia interesu na przeróbce z powieści Sienkiewicza *Ogniem i mieczem*, zdecydowano się na *Teodorę* Sardou. Przedsiębiorcy, niezrażeni trudnościami wystawy, ani wielkością kosztów, ukazali nam dramat francuski w szacie, jak na Kraków, imponującej, lecz obok tego narazili p. Hoffmanową na niekonieczne dla niej przyjemną ostateczność — udawania młodej i pięknej Teodory. Te wysiłki szlachetne zepsuto wnet noworocznem przedstawieniem *Króla dziadów*, sztuki przerobionej z powieści, bez literackiej wartości. Jak się zakończy ten cykl usiłowań, dziś nie wiadomo jeszcze, ale sprawa teatralna jest tak ciekawą ilustracyą naszych stosunków, iż pomówić o niej warto w osobnym artykule. Dziś ogólnikowo notuję, iż Wydział krajowy mianował dla teatru komitet artystyczny, w którego skład wchodzą: jeden adwokat, jeden urzędnik, jeden bibliograf, jeden b. przedsiębiorca teatralny i jeden doktór akuszer. Co tam będzie robił bibliograf, czego dokona adwokat, a czego akuszer — nie wiem i nie przepuszczam.

W. P.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Radość na cmentarzu upadłościowym. — Silniejszy od niej smutek. — Wieści Merkurego. — Bacyllusy kredytu. — Kto opłaca zbytek i rozpustę. — Pompowanie cudzej pracy. — Jak się zarabia. — Drapieżny smok. — Ruch oszczędnościowy z góry. — Dwie metody. — P. Mierzwiński w Berlinie a p. Barcewicz w Warszawie. — Nowe pismo humorystyczne.

Grabarze bankrutów a zarazem ojczymowie ich ofiar, mściciele strwonionego grosza wierzycieli, robiący na nich majątki, a przedewszystkiem szczęśliwcy, którzy w rulecie upadłościowej stale dopisuje im przynosząca syndykowstwo „masy"— uczuwali zeszłego tygodnia niezawodnie błogość w sercu a świerzbiączkę w rękach. Co chwila bowiem przylatywał do świątyni złotego cielca skrzydlaty Merkury z wieściami o nowych „plajtach," czyli niewypłacalnościach handlowych. Jest to smutek, który pewne języki oblizują chętnie, jak owce sól. Gdy każdy inny człowiek straci całe mienie, nikt na tem nie korzysta; ale gdy kupiec zbankrutuje, zyskują naprzód jego współzawodnicy a potem ta pijawka, którą prawo przystawia do „masy upadłości," ażeby z niej wyssała trochę krwi dla wierzycieli. Ale nawet i dla tych zadowolonych częste bankructwa, jako fakt społeczny, zawierają przytem męt, zaprawiający niemiłą goryczą słodki napój syndykowskiego kielicha. Najszczęśliwszy bowiem syndyk nie ma tylu upadłości, ażeby mu one zajęły czas, w którym jest człowiekiem i obywatelem kraju. Chociaż więc ta i owa pierś wzdęła się na chwilę radością, zeszłotygodniowe trzeszczenie wiązań i chwianie się kilku słupów handlu zbudziło dość powszechną trwogę. Bo gdyby to był objaw wyjątkowy lub gdyby powtarzał się tylko w świecie kupieckim, moglibyśmy przeskoczyć go z wiarą, że na nas spadła odosobniona klęska lub że zaraza ogarnęła jedną warstwę społeczną. Ale tak nie jest: bankrutujemy ciągle i we wszystkich dziedzinach życia. To straszny fakt, wobec którego maleją straty lub niecnoty jednostkowe.

Psychologia i historya znają dziwne na pozór zjawisko, że w chwilach rozpaczy ludzie szaleją weselem, w chwilach niedostatku—marnotrawią mienie, w chwilach niepowodzeń—rzucają do ryzykownej gry wszystkie swoje zasoby. Niedola i bieda to nie są białe anioły, otulające skrzydłami nieszczęśliwych i szepczące im do ucha wzniosłe rady; są to zwykle podłe kusicielki, pociągające do złych czynów. Handel nasz w ogólnym zastoju omdlał, ale jednocześnie znieprawił się. Zawiedziony na środkach godziwych, widząc ich bezskuteczność w własnem lub cudzem doświadczeniu, często chwyta się niegodziwych. Nie mając czasem żadnej innej podstawy prócz kredytu, rozszerza ją nadmiernie, wyzyskuje, a wreszcie strąca się sam w własną otchłań. Nigdy nie zapomnę przykrych wrażeń, jakich doznawałem w domu pewnego obywatela ziemskiego, który zamazał długami swoją hipotekę (o ile ten najciągliwszy z papierów starczył) i który z tem większem upodobaniem mówił o „swoim majątku." Gdy mnie ten fikcyjny pan na cudzej własności częstował cygarem lub zapraszał do obiadu, zdawało mi się, że to cygaro, ten obiad kradnę wraz z nim komuś podstępnie. Boć przecie on w „swoim majątku" nie miał już nic, prócz powietrza i drogi publicznej, między rzeczywistymi zaś właścicielami *jego* ziemi, płonów, inwentarza i zabudowań byli także biedni, starcy, wdowy, ludzie, którym tylko świętokradzka ręka mogła coś ująć i którzy z boleścią patrzyli, jak ich ciężko zapracowane sumki topnieją na ogonie zaszarganej hipoteki. Przekonałem się później, że świat kupiecki daleko częściej bywa dzi tego rodzaju uczucia. Poznałem tu mnóstwo ludzi, którzy „żyją kredytem," utrzymując wytworne mieszkania i karety, opływając w zbytku, i—rozpuście. Każdy taki bacyllus kredytowy sprawia mi niewymowną odrazę. Zawsze bowiem staje mi przed oczami osłonięta prawda, która skarży, że te jego kosztowne meble, lustra, obrazy, dywany, konie, te aksamity, koronki, jedwabne materye, złoto i klejnoty jego żony—są zapłacone cudzymi pieniędzmi. Zajrzyjcie do pierwszorzędnych restauracyj—znajdziecie tam smakoszów, obżartych i spitych, którzy puszczają cudze, powierzone im mienia. Spotkacie ich również w lożach teatralnych, u wód zagranicznych, przy stołach karcianych, przy boginiach półświatka. Każdy z nich ma przyjaciółkę, której płaci rocznie 5 lub 10 tysięcy rubli. Albo to on płaci? Jego wierzyciele i dostarczyciele kredytu sprawiają mu taką przyjemność, za którą on ich pokwituje bankructwem. Niejedna uczciwa kobieta, której mąż po śmierci zostawił kilka tysięcy rubli, traci je w pożyczce bacyllusowi kredytowemu na korzyść ladacznicy. Kto utrzymuje, karmi i odziewa te „damy," które eleganckimi powozami przelatują wystrojone i wyróżowane po alejach spacerowych? My, szanowni czytelnicy, my, o ile jesteśmy wierzycielami rozpustników.

A teraz pająk tego świata—lichwiarz. Nie ten wszakże, co przędzie swoje sieci w zakątku Franciszkańskiej lub Gęsiej ulicy, ale ten, który otwiera „dom" w środku miasta, rozporządza milionami i wyciąga ramiona po całej Europie. Kupiec lekkomyślny, ale nie oszust tak mi raz tłomaczył swój upadek.

— Zjadła mnie lichwa, żarłoczność nie drobnego, ale wielkiego kapitału. Wiadomo panu, że w bankach uczciwość nie jest odpowiedzialną. Wyczerpawszy tam mały kredyt, musiałem się udać do bankiera. Pożyczył mi i nietylko ubezpieczył swoje pieniądze na hipotece mojego domu, ale zobowiązał mnie do wystawiania mu co trzy miesiące weksli. Wiesz pan, jaką rolę grały te weksle? Szły do Hamburga lub Bruksełli i stamtąd sprowadzały mojemu wierzycielowi określoną w nich sumę na 3 procent, którą on mi dał na 10. Odnawiając je co trzy miesiące, obracał codziennie pieniędzmi, a nie dawszy ani grosza, zarabiał 7 proc., to jest w duszeniu mnie jednego 5,000 rs. rocznie. Czy mogłem nie runąć?

Między bankrutami są nieceni oszuści, ale są także nieszczęśliwe ofiary—ofiary pojedynczych lub ogólnych niepowodzeń i kapitalistycznego łupiestwa. Nie na wszystkich tedy należy rzucić kamieniem. W upadłościach handlowych kryją się nieraz straszne dramaty. Nad tym wszakże poziomem nieuczciwych matactw, lekkomyślnych rachub, niedoświadczonych porywów, łatwowiernej ufności unosi się, wiecznie zadowolony, bo wiecznie spijający nigdy niewyschłą rosę łez ludzkich, unosi się złowrogi geniusz handlu, drapieżny smok pracy ludzkiej—chciwy kapitalista, lichwiarz. Czerpie on swoje siły, swoje radości, swoje uśmiechy i rozkosze z niedoli. Im gorzej wszystkim, tem lepiej jemu. Łupieżca i okrutnik zazdrości ludziom wszystkiego, co z nimi wspólnie używa. Gdyby mógł, wyłączyłby dla innych tlen z powietrza.

— Ja—rzekł jeden z takich szatanów—ja mam milion rubli i piję tę samą wodę, co on, zadłużony golec!

Nie znosił, że biedniejsi od niego piją „tę samą" wodę!

O tych potworach, w których zanikły wszelkie komórki dla odczucia i pojęcia moralności, którzy stracili całkiem umiejętność chodzenia prostą drogą, którzy żyli się z oszustwem i z wyzyskiem jak z własną skórą, o tych strasznych pająkach nie należy zapominać, gdy usłyszymy przedśmiertny brzęk konającej w ich sieciach muchy handlowej. Obok innych bowiem czynników, oni także pracują nad powszechną ruiną, oni hodują bankrutów.

Sprawiedliwość przyznać każe, iż dostrajając się do obowiązków ciężkiej chwili, zaczęliśmy rozwodzić się ze zbytkiem i poślubiać oszczędność. Jak wszystko, i ta ostatnia płynie ku nam z góry. Arystokracya podobno już uchwaliła, że tego karnawału nie będzie sprowadzała kwiatów z Włoch; plutokracya zaś podniosła odsetki pożyczającym i obcięła pensye oficyalistom; szlachta zamierza siedzieć na wsi i wyrzec się nawet *Gazety warszawskiej*—naturalnie, jeśli nie wybuchnie wielka wojna. Tylko istoty, stanowiące spód kolumny społecznej, nie postanowiły dotąd, czy wstrzymają się od chleba, mięsa, soli, jarzyn, suchego mieszkania i całej odzieży. A na nich nasza domowa socyologia najwięcej liczy i oszczędności się spodziewa!

Słyszałem wszakże o dziwactwie pewnego, bardzo zresztą rycerskiego kapitalisty, który na rok przyszły nietylko zatrzymał wszystkich urzędników, ale nawet podwyższył im płacę. Byłby to czyn wyjątkowy, zdumiewający, prawie niewytłomaczony, tem bardziej, że inny równoważny pieniężnie temu filantropowi arcykapłan Merkurego postąpił ze swemi owcami akurat odwrotnie.

Kto wie, czy nie przepędzi karnawału skromnie nawet p. Mierzwiński. Chociaż to podobno niepatryotycznie zdradzać takie tajemnice, ale popisy w Berlinie nie powiodły mu się, a przynajmniej nie doprowadziły ani do rozrywania przez publiczność na pamiątkę chustek, ani do wyprzęgania z karety koni. Nic nie szkodzi, owszem, bardzo dobrze, bardzo dobrze! Chociaż bowiem wszelkiego rodzaju gwiazdy teatralne mają oddawna wydaną dyspensyę od patryotyzmu, a tenorowie otrzymali nawet pewne ulgi przy poborze umysłowym, chociaż naród nasz dostarcza całej Europie artystów, jak słowacy druciarzów, ja jednakże dotąd nie umiem pogodzić się z tą szczególną logiką, która każe niemców przeklinać i jednocześnie pozwala dla nich śpiewać. To jest jakiś „wyższy" sofizmat, którego mój rozum pojąć niezdolny. Nie umiem bowiem odłączyć znakomitego gardła od reszty ustroju człowieka i poddać tego organu odrębnym prawom moralnym. Zwykły—za pozwoleniem—chłopski rozsądek powtarza mi ciągle: czy szewc, czy rzeźbiarz, czy ziemianin, czy aptekarz, czy literat, czy piernikarz, czy kupiec, czy śpiewak—wszyscy powinni ze swych sił i talentów składać daninę własnemu narodowi, a im kto ma więcej, tem więcej od niego się należy. Przed kilku dniami, słuchając przecudnej opery Mozarta, śpiewanej czem chata teatru bogata, myślałem o p. Mierzwińskim, gdy wzrok padł mi na p. Barcewicza. Przy pulpicie pierwszego skrzypka orkiestry siedzi dzielny artysta, znany i ceniony w Europie, siedzi w brudnej zagrodzie polskiego teatru silny talent, który przecie mógłby tylko w gościnę do Warszawy zaglądać i włóczyć się ciągle po estradach wielkich miast zagranicznych. Ukazuje on się tam, ale na stały pobyt wraca do rodzinnego kraju i w nim pracuje. Ileż razy ten Barcewicz jest dla mnie więcej wart od wszystkich Mierzwińskich, Kochańskich i całej plejady cygańskich „gwiazd," wędrujących po Europie a unikających swojskiego nieba!

Ze spokojnem sumieniem ukazuję czytelnikom moim smutki naszego życia, bo ma z nich wkrótce wytrysnąć nowy a błyskotliwy promień humoru. Jak głoszą dzienniki, w kółku malarzów warszawskich powstał projekt założenia pisma humorystycznego na wzór niemieckich *Fliegende Blätter*. Zapowiedź ta równa się wiadomo-

ści o znalezieniu dużej bryły czystego złota w warstwie nieposądzanej o ten kruszec. *Fliegende Blätter* bowiem są najdowcipniejszem wydawnictwem świata, zasilanem przez znakomitych pisarzów, a ilustrowanem dość niedbale; jeżeli więc malarze nasi chcą mu dorównać, uczuli widocznie siłę nietylko w swoich ołówkach, ale i w piórach. *Evohe!* Niech bogowie z nieba zstąpią do nas! A jeżeli nie przybędą? W każdym razie z ufnością pokładam w nich jedną nadzieję: że nie będą przerysowywali szablonów francuskich, barwionych po waryacku. Może wreszcie znikną obrzydliwe karykatury, w których włosy są fioletowe, czapka czerwona, jeden rękaw surduta żółty, a drugi—zielony przy czerwonych (do połowy) sukniach. Na dowcip wolę poczekać, ale artyzmu, smaku, no, i logiki w rysunkach jestem już pewny.

Poseł Prawdy,

NA WIDNOKRĘGU.

Następstwa parcelacyi. — Pojęcia chłopów o ziemi.— Nowa taktyka buntów. — Dwa głosy w sprawie pisarzów gminnych. — Z nad Wilii. — Przestępstwo względne.

Mówiąc o spadku cen ziemi, jako jedną z głównych przyczyn tego wskazaliśmy, że najpoważniejszy nabywca — włościanin niema już dziś za co kupować. Chłop nie przestał być „chciwym na ziemię," którą chętnie gromadzi, nawet pomimo głębokiej wiary w przyszłe „nadania" i „przykładki." Bo czy dadzą nowych gruntów „po równości," czy „wedle tego, co kto ma," zawsze lepiej mieć teraz jak najwięcej. Nabywców włościan podzielić można na trzy grupy: do pierwszej należą zamożni gospodarze, posiadający oszczędności zebrane przez cały szereg pokoleń w gotówce i ruchomościach; do drugiej kapitaliści wioskowi nowej formacyi: wójci, szynkarze itd., którym zajęcia ich przyniosły spore zyski; trzecią wreszcie, najliczniejszą stanowią parobcy i komornicy lub też inni wybrańcy proletaryatu bezrolnego. Ci tylko krwawą pracą i bohaterską oszczędnością mogą w szczęśliwym wypadku zgromadzić jakiś zasób, niedostateczny wszakże dla kupna odpowiedniej ilości gruntu. O nich jedynie może być mowa przy oznaczaniu społecznej i ekonomicznej doniosłości drobienia większych obszarów. Szczupły zapas gotówki nie wystarcza na kupno ziemi, nabywca zaciąga więc pożyczkę bądź u żyda, bądź u kapitalisty wiejskiego—na wysoki procent. Wierzyciel taki w niemiłosierny sposób obdziera dłużnika i wreszcie w końcu osobiście, jeżeli posiada prawo, lub przez podstawioną osobę nabywa za bezcen grunt. Są okolice, w których spekulacye tego rodzaju doszły do szerokich rozmiarów, o czem pisaliśmy kiedyś szczegółowo. Dziś zaznaczamy tylko głosy korespondentów z różnych okolic kraju: z lubelskiego, radomskiego i Podlasia, którzy jednozgodnie donoszą o rozpaczliwem położeniu tej kategoryi włościan. Pomimo jednak odstraszającego przykładu chłop i dziś jeszcze, jeżeli może, kupuje ziemię i zapożycza się w tym celu u lichwiarzy. Kasy gminne i zaliczkowe rzadko kiedy okazują mu pomoc, najprzód dlatego, że pożyczka jest krótko-terminową, powtóre, że zarząd tych instytucyi prowadzony jest zwykle nieuczciwie a z kredytu w nich korzystają właśnie owi uprzywilejowani lichwiarze z wójtów i karczmarzy. Projekt banku włościańskiego, pomimo poparcia miejscowej władzy, spoczywa w jakiejś kancelaryi lub też rozwiany został na cztery strony jakimś nowym „prądem," pożyczka zaś Towarzystwa kredytowego, dostępna tylko dla zamożniejszych, jest prędzej szkodliwą niż pożyteczną, bo wytwarza w warstwie posiadaczów drobnych arystokracyę chłopską.

Nie potrzeba wykazywać doniosłości politycznej i społecznej tego zadania, ażeby dać chłopu ziemię, bez której istnieć nie może, dla zdobycia której dokonywa cudów zaparcia się i poświęcenia, idących najczęściej na marne, do której praw broni, nie cofając się nawet przed groźbą surowej kary, przed występkiem. Bo ani umoralniające książeczki, ani łagodne przedstawienia, ani surowe zakazy nie wybiją chłopu z głowy tej myśli, że „święta ziemia" jest dobrem, do którego ma on niezaprzeczone prawo, którego żadne kopce i pomiary znieść lub ograniczyć nie mogą. W tej dziedzinie rządzi się on i logiką i etyką wręcz odmienną od naszej i nie pojmuje nawet, że można mieć inne zdanie. W poprzek takim słusznym, według niego, żądaniom stanąć może tylko albo oszustwo, albo zła wola. Pomiar każdy jest niecnotą przedajnych „ometrów." którzy ośmielają się brać na duszę grzech ciężki mierzenia ziemi, za co, jak wiadomo, nazwa ich jest najobrzydliwszą obelgą, dusze zaś pokutują po śmierci w postaci błędnych ogników, skaczących po bagnach i moczarach bez odpoczynku. Przedstawienia urzędników, wyroki sądu zastraszają chłopa, ale nie przekonają go nigdy, nie wierzy on nawet, że władza może wbrew jego pragnieniom postąpić i twierdzi uparcie, że komisarza lub sąd przekupili panowie. Dlatego to nie znam spraw, któreby wywierały przykrzejsze, cięższe wrażenie, jak sprawy o t. z. bunty włościańskie. Władza, która uśmierza bunt,, sąd, który karze jego uczestników, pełnią swoją powinność, ale wiedzą dobrze, że najsilniejsze argumenty, najenergiczniejsze środki, najsurowsze kary mogą tylko złamać opór, ale nie przekonają wcale opornych, nie zachwieją ich postanowień, nie wrzucą do ich duszy jednego bodaj ziarnka wątpliwości o tem: czy postąpili słusznie, czy nie.

Tradycya dawna nakazywała, żeby opór stawiły baby, którym groziła za to jedynie chłosta. Ponieważ chłop z natury swej jest konserwatystą, taktyka ta przetrwała do dni naszych, ale wyroki sądów karzące zarówno kobiety, jak mężczyzn, powtarzające się często, przekonały, że należy zmienić sposób działania. Nowy pomysł zastosowany jest bardzo dowcipnie do przepisów kodeksu, chociaż płeć męzka i teraz jeszcze nie przyjmuje czynnego udziału — jest to ustępstwo dla tradycyi. Pierwszy przykład, jak donosi korespondent *Wieku*, dali włościanie w Bobrownikach, w powiecie konecim. Komisarz włościański na mocy Najwyżej zatwierdzonego postanowienia przystąpił do okopcowania wspólnego dotąd pastwiska, obecnie zaś podzielonego między dwór i włościan. Do pomocy wezwani zostali włościanie z wsi okolicznych. Zaledwie jednak ukończono roboty, chłopi bobrowniccy wysłali wszystkie dziewczęta od 9 do 13 lat wieku i nakazali im znieść kopce. Dziewczęta z rydlami i motykami w zwartym szeregu przystąpiły do roboty, kopce zrównano z ziemią, p. komisarza zaś broniącego przystępu do jednego z nich powalono na ziemię i zelżono. Raport o tem zajściu przedstawiono władzy sądowej, która jakkolwiek ukarze małoletnie buntownice, wyrok jej ze względu na wiek ich nie może być bardzo surowym.

Ciekawa rzecz, czy włościanie Bobrownik samodzielnie doszli do tego pomysłu, czy też podsunął go im jaki usłużny doradca. Takiego właśnie inteligentnego przewodnika, wykrył drugi proces, dotyczący „buntu" w Ziatkowcach, w gubernii podolskiej. Włościanom chodziło o 240 dziesiatyn ziemi, które na jakimś starym planie wskazane były jako należące do nich. Plan ten ma swoją historyę, najprzód skradł go niby starosta i sprzedał rządcy, potem puszczono wieść, że go myszy zjadły, wreszcie zjawił się, ale czy był to samozwaniec, czy prawdziwy — twierdzono różnie. Sędzia śledczy złapał nakoniec ów plan, który okazał się jakimś projektem pomiarowym. Posiadacz skarbu nie chciał oddać go dobrowolnie, został więc aresztowany, potem odbity przez włościan, znów uwięziony itd., co powtarzało się kilkakrotnie. Dalej z parządku rzeczy idzie egzekucya wojskowa, sąd i wyrok, skazujący głównych „buntowników" na ciężkie roboty, innych zaś do rot aresztanckich. Podczas procesu mirowy pośrednik i inni świadkowie ze sfery urzędniczej wskazywali jako na głównego podżegacza na parocha miejscowego Iwanowskiego. Opowiada o tem korespondent *Gazety polskiej.*

Od pokątnych doradców przeskok niewielki do pisarzy gminnych, oba te zajęcia bowiem często wymieniają pomiędzy sobą personel. Otóż *Warszawskij Dniewnik* wystąpił przeciw nadużyciom pisarzów i przytoczył kilka trafnych uwag. Powstaje on przeciw coraz częściej zdarzającym się faktom wyboru pisarza na wójta gminy, twierdząc słusznie bardzo, że oprócz innych ujemnych stron wybory takie naruszają zasadę samorządu gminnego. Przy sposobności organ urzędowy dodaje, że pisarze są to osobistości zepsute do gruntu i przytacza, że w pewnym powiecie gubernii kieleckiej wszyscy wójci, którzy poprzednio byli pisarzami oddani zostali pod sąd za branie łapówek, fałszerstwa i inne nadużycia. Przeciw tak hurtownemu potępieniu wystąpił w tem samem piśmie z protestem jakiś pisarz gminny, który w znacznej części przyznaje słuszność zarzutów, ale twierdzi, że przyczyną złego jest niedostateczne uposażenie. Dosyć będzie podnieść pensye a nadużycia znikną. Argumenty tego rodzaju coraz częściej słyszeć się dają, zasługują więc na stanowcze odparcie. Źle jest kiedy urzędnicy pobierają zbyt szczupłe wynagrodzenie i nędza nieraz może pchnąć człowieka na złą drogę, ale wysoka płaca nie zrobi złodzieja uczciwym. W Rosyi urzędnicy pobierają większe niż gdzieindziej pensye, co nie przeszkadza jednak, żeby nadużycia nie były tu częstszemi. Juchancew, Rykow, Swiridow posiadali olbrzymie dochody, Krzeczkowski lub Rembertowski mieli bardzo dobre utrzymanie—wszyscy jednak zostali złodziejami.

Z nad Wilii piszą do *Wieku*, że w jednem z miasteczek tamtejszych osiadł lekarz, człowiek zdolny i pracowity, ale posiadający dwie wady: nizki wzrost i żydowskie pochodzenie. Chłopi nie chcieli zasięgać u niego porady, bo co to za doktór, którego można wziąć na plecy, żydzi zaś dlatego, że chociaż był ich współwyznawcą, jadał wieprzowinę i nosił krótki surdut. Po kilku tygodniach głodowej kuracyi biedny lekarz wyniósł się z miasteczka a okolica cała została pozbawiona pomocy lekarskiej.

Ten sam korespondent o tej samej okolicy donosi, że niema ona również i obsługi religijnej, bo aż trzech proboszczów w ostatnim czasie wyjechało w strony inne.

Niedawno przekonałem się, że najstraszniejszą zbrodnią u nas jest dwużeństwo. Gazety, które dyskretnie nazywają złodziejów pierwszemi literami ich nazwisk, które piszą: *pan* A. sprzeniewierzył się itd., *pan* B. „ulotnił się" z cudzymi pieniędzmi, wymieniły z imienia i nazwiska niejakiego W. E., i obie żony jego, chociaż sąd uniewinnił oskarżonego a cały przebieg sprawy świadczy, że p. E., zesłany do 1863 r. do gub. symbirskiej, ożenił się tam i potem dobrowolnie rozszedł z żoną, że ślub był nieważny i pierwsza małżonka nie miała doń żadnych pretensyj, on zaś

przez lat kilkanaście nie miał o niej wcale wiadomości.

A jednak istnieją przecie warunki, przy których nietylko w Turcyi ale i u nas dwużeństwo nie jest wcale karanem. Oto np. co piszą jeden z duchownych prawosławnych w *Warszawskim Dniewniku.*

„Czwartego listopada przychodzi do mnie młody człowiek, niejaki F. R. oficyalista drogi żelaznej w Brześciu.

— Czy to prawda, ojcze, że w naszej cerkwi ogłoszono zapowiedzi o wyjściu za mąż panny A. K.

— Tak, ogłoszono.

— I pan dasz jej ślub?

— Rozumie się.

— Ale to przecie moja żona.

— Jakto? Zechciej pan objaśnić dokładnie.

— Owszem, braliśmy ślub w Częstochowie, albo jak nasi mówią w Krakowie. Oto świadectwo; zapłaciłem za nie 30 rubli.

— Szkoda! Bo według tego świadectwa A. K. jest tylko pańską nałożnicą, która ma prawo wstąpić w związki małżeńskie z panem, lub z kim innym, co dla mnie wszystko jedno.“

Korespondent dodaje, że tego rodzaju związki nielegalne trafiają się bardzo często, w jednej gubernii siedleckiej liczą ich około 5,000.

Powyższy urywek przytoczyliśmy dlatego tylko, żeby wykazać, że dwużeństwo należy do t. z. przestępstw względnych, i nietylko opinia nieraz go nie potępia ale nawet prawo nie karze, a władza duchowna błogosławi.

J. Nieborski.

Tomaszów Rawski. Ruch handlowy i przemysłowy zwiększył się niespodziewanie. Wszystkie fabryki zamierzają powiększyć z wiosną produkcyę. To samo piszą i z Zawiercia.

Radom. Oddział towarzystwa popierania przemysłu i handlu został zorganizowany. P. gubernator radomski wydał okólnik, w którym powiada, że na zasadzie ustawy gminnej pisarze powinni być wybierani i tylko w razie, jeżeli zebranie gminne nie przedstawi żadnego kandydata, mianowani przez naczelnika powiatu po porozumieniu się z komisarzem włościańskim. Nieprzestrzeganie tych zasad prowadzi do nadużyć, okólnik więc nakazuje władzom powiatowym ściśle stosować przepisy ustawy gminnej.

Lublin. Miejscowy oddział banku przyznaje kredyt obywatelom ziemskim jako rolnikom, nie żądając patentów i świadectw na prowadzenie handlu lub przemysłu.

CUDZE GŁOSY.

O prawdę. Odbieramy następującą obronę, której tem bardziej otwieramy pismo nasze, że jej właściwe pole do sporu zamknięto.

Kiedy puszczaliśmy w świat naszego *Płoczanina* (kalendarz na rok 1886), nie spodziewaliśmy się bardzo przychylnego przyjęcia ze strony tych sfer naszej prowincyonalnej publiczności, które ospałość i własną nietykalność uważają za podwaliny społeczne. Wszelako byliśmy pewni, że praca, którą w miarę sił naszych i środków staraliśmy się uczynić jaknajlepiej odpowiadającą swemu celowi, zyska uznanie tych wszystkich, którym leży na sercu rozbudzenie naszych prowincyonalnych miast z letargicznego snu.

Tymczasem *Korespondent płocki* (nr. 97), produkujący co wtorek i piątek dla swoich czytelników wodnistą i przez miejscowe duchowieństwo poświęconą zupkę, którego zadaniem powinno być chyba popieranie wszelkich objawów życia umysłowego prowincyi, dotknięty w swej miłości własnej kilkoma słówkami krytyki, które pomieściliśmy w naszym kalendarzu, wylał na nas cały potok obelg i niskich posądzeń. Do skreślenia całej tej wymyślaniny, zatytułowanej „Z poddasza,“ szanowna redakcya wynajęła sobie niejakiego pana Valentyniana.

Najprzód zacny „sprawozdawca“ nie może pojąć, „jakim sposobem p Wasserman, człowiek, którego działalność wydawnicza ma dobrą przeszłość, dał się namówić do nadania swemu kalendarzowi *podobnego* (postępowego) kierunku.“ Kierunek ten nie podobał się p. Valent. dla dwóch powodów: 1) wytknęliśmy w nim śmiało letargiczną ociężałość i jałową monotonność *Korespondenta płockiego*; 2) w „Kronice m. Płocka za rok 1884/5“ głównie bijemy na nędzę i bezbarwność naszego płockiego życia.

Naturalnie oburzenie *Korespondenta*, dobywające się przez usta p. Valentyniana, niema granic. Wszakże szan. organowi dano do zrozumienia, że, jeżeli nie stanie się żywotniejszym, to może zginąć w ofierze dla pieprzu i wędlin. Rozsiewając zaś pośród mieszkańców Płocka i okolicy podobne wróżby, staliśmy się powodem niebywałego zgorszenia. A nużby o tem dowiedziała się „szlachta“ i odmówiła swej łaski przed nowym rokiem!

Ale przedźmy do głównych zarzutów. P. Valentynian wymawia nam zbytnią popularność w artykule „Niektóre dane statystyczne, odnoszące się do gubernii płockiej, za rok 1884.“ Alež my nie przeznaczaliśmy wcale naszego kalendarza dla uczonego „grona“ redakcyi, lecz dla mieszkańców miasteczek i wsi, którzy rzadko mają sposobność czytać o wpływie Darwina, Spencera itp. mężów na upadek rolnictwa u nas (patrz artykuł „W odpowiedzi na kwestyonaryusz“), którego to wpływu tak wymownie dowiódł *Korespondent* w jednym z tegorocznych numerów.

„Sympatyczne towarzystwo“ wioślarskie w Płocku do czasu napisania „Kroniki.“ t. j. do dnia 10 września 1885 roku, zachowywało się tak niegrzecznie, iż najzupełniej zasłużyło na naganę, którą nie przesądzamy przyszłości. Niechaj zjednoczenie się będzie naprawdę „zjednoczeniem,“ niechaj z połączenia się wioślarskiej młodzieży wynikną jakieś dla niej korzyści, niech „nasi dzielni“ chłopcy wezmą się społem za ręce, aby tchnąć trochę życia w nasze ospałe społeczeństwo płockie—wtedy okrzykniemy sławę Towarzystwa. W obecnym jednak stanie rzeczy do pochwał nie znaleźliśmy ...zasług.

Że ośmieliliśmy się dotknąć niektórych nadużyć, popełnianych przy urządzaniu teatrów amatorskich, z których fundusze często obracane bywają dla osobników, wstydzących się żebrać, na... kupno modnego kapelusza, niema w tem jeszcze nic tak złego, jak również wzmiance, że nasze płockie babunie, uważając teatr amatorski za jakieś przedsiębiorstwo matrymonialne, wypychają swe dziewicze pociechy „na scenę“ dla obejrzenia... Cóż w tem dziwnego? W ten sposób dochodzi się niekiedy „przez sztukę“ do.... intratnych mężów.

O Humoresce Litawora mówić tu nie będziemy, gdyż utwory literackie każdemu wolno mierzyć swoim łokciem. Szanujemy więc w tym razie zdanie nawet... p. Valentyniana. Nadmieniamy tylko, że zarzut „wolnego tonu,“ postawiony humoresce Litawora, mógł się zrodzić chyba w głowie niesumiennej.

Wreszcie co do artykułu „Płockie Towarzystwo Dobroczynności“—to ów projekt założenia Domu przytułku i pracy przy głównym Domu schronień, nazwany przez p. Valentyniana „bezsensownym,“ podniesionym został przecie jeszcze w roku 1876 przez... *Korespondent płocki*, którego chyba nasz „fejletonista“ i powiernik wszystkich dziewięciu muz redakcyjnych o pisanie nonsensów posądzać nie może.

Nakoniec jeszcze słówko. *Korespondent* ostrzega swoich czytelników (nieliczne to gronko!) żeby nie kupowali naszego kalendarza i wyraża życzenie, aby wydawnictwo nasze nie opłaciło się. To już przekracza granice dziennikarskiej polemiki i jest wprost... niedyskretnem zaglądaniem do cudzej kieszeni. My nie pożądamy ani kartofli, ani gęsi, ani żadnej pożywnej rzeczy od prenumeratorów *Korespondenta*, więc niech nas szanowna jego Red. pozostawi w spokoju i zajmie się raczej poprawą własnej „chorobliwości moralnej,“ czego jej w nowym roku z całego serca życzymy.

W. Wolski i M. Kozarski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Odczyty publiczne na dochód Towarzystwa dobroczynności odbędą się w marcu i kwietniu, wygłoszą je pp. Piotr Chmielowski, K. Jarochowski, N. Milicer, J. Bogucki, A. Peplowski i L. Ćwikliński.

Zmiany w kodeksie karnym. W nowem wydaniu kodeksu karnego poczynione będą pewne zmiany, z których ważniejsze zaznaczamy: Przedawnienie zbrodni na mocy § 158 będzie następowało po latach pięciu dla tego rodzaju win, które pociągają za sobą zesłanie do oddalonych miejscowości Cesarstwa i zamknięcie w więzieniu lub twierdzy. Uwolnieni od kary cielesnej nie z powodu pochodzenia szlacheckiego, ale na zasadzie praw nabytych, podlegać będą takim karom, jak nieuwolnieni od chłosty. Winny ogłoszenia drukiem odezwy podburzającej jedną część ludności lub jedną klasę społeczną przeciw drugiej karany będzie oprócz więzienia, aresztu lub grzywny jeszcze pozbawieniem pewnych praw i przywilejów. Wreszcie złodzieje koni, jeśli zajmowali się kradzieżą jako rzemiosłem, skazywani będą na osiedlenie w Sybery.

Handel zewnętrzny Rosyi zmniejszył się w r. ubiegłym w porównaniu z 1884 o 133 miliony rubli, mianowicie przywóz mniejszy jest o 83 miliony, wywóz o 50.

Na konkurs dramatyczny imienia Wojciecha Bogusławskiego nadesłano 64 utworów.

Konkurs. Z funduszu imienia Adama Helbicha warszawskie Towarzystwo lekarskie wyznaczyło dwie nagrody po 150 rs. każda za rozprawy na temat: „opisać pod względem lekarskim i krytycznie porównać zdrojowiska krajowe słono-siarczane i solanki jodowo-bromowe jako to: Busk, Ciechocinek, Druskieniki, Iwonicz i inne, lub też opracować ustęp z historyi medycyny w Polsce.

Loterya. Prezes banku państwa wniósł projekt, żeby loterya klasyczna rozszerzona została znacznie i pozyskała debit w Cesarstwie, lub też, żeby była zupełnie zniesiona. Minister skarbu jest za drugiem rozwiązaniem sprawy.

Nominacye wyższych urzędników w kantorze warszawskim banku państwa i w oddziałach prowincyonalnych zostały już ogłoszone. Dawni urzędnicy Banku polskiego zajmują mniej więcej połowę posad, na kasyerów zaś przeważnie mianowano polaków.

Prasa polska. W Berlinie wychodzić zaczął *Nowy dziennik* w języku polskim. W stolicy Prus przebywa około 30,000 ziomków naszych.

Departament rolnictwa w Petersburgu sprawozdania z urodzajów zeszłorocznych w główniejszych krajach europejskich, Ameryce, Australii i Indyi. Ogólny rezultat jest znacznie gorszy, aniżeli w r. 1884, szczególniej nie obrodziła pszenica (w Stanach Zjednoczonych o 162 miliony buszli mniej). Na zasadzie tych danych sprawozdanie sądzi, że ceny zboża *powinny* podnieść się, zwłaszcza na wiosnę, kiedy znaczne zapasy z lat ubiegłych wyczerpią się.

J. I. Kraszewski protestuje przeciw przeróbce na scenę powieści jego *Herod baba* przez p. Maryę Szeligę, która nie zapytała wcale o zezwolenie autora.

Ciekawe procesy. W Petersburgu osądzono bandę podpalaczy, złożoną wyłącznie z osób inteligentnych, pomiędzy któremi figuruje kilka nazwisk polskich. W Odesie sąd przysięgłych uniewinnił całą bandę korsarzy, którzy pod przewodnictwem konsula angielskiego w Kerczu stanowili bandę zorganizowaną. Korsarze byli jednocześnie pilotami i zajęcie ich polegało na tem, że naprowadzali okręty na skały podwodne, wspólnicy zaś ich zarabiali i kradli przy ratowaniu ładunku z tonących statków.

Dochody dróg żelaznych. W ciągu 9 miesięcy ubiegłego roku koleje w Królestwie dały dochodu brutto na jedną wiorstę: wiedeńska 18,456, łódzka 14,194, terespolska 7,379, nadwiślańska 4,979, bydgoska 4,946 i dąbrowska 1,310. Pod względem dochodu droga wiedeńska zajmuje 4-te miejsce między kolejami rosyjskiemi.

Statystyka. W gub. Kaliskiej z 1,075,303 morgów własności ziemskiej prywatnej w rękach niemców znajduje się 236,000 m. t. j. 22%.

— W gub. wileńskiej 1,443,906 dz. ziemi należy do właścicieli prywatnych, 1,349,205 do gmin włościańskich i 383,921 do skarbu. Z pomiędzy właścicieli większych 93% jest pochodzenia polskiego, posiadają oni 75% ogólnej przestrzeni własności ziemskiej. W gub. mińskiej prawosławni stanowią 36½%, katolicy zaś 60% właścicieli ziemskich, pierwsi posiadają 22%, drudzy 69% ogólnej przestrzeni.

Zmarli. Dr. T. Anders, młody lekarz, autor kilku rozpraw specyalnych.

— Ks. Janusz Woroniecki, oficer najrozmaitszych wojsk, przyjmował udział we wszystkich znaczniejszych wojnach i powstaniach od początku bieżącego wieku aż do 1863 r.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Homo w Łodzi. Myli się Pan. Jest to artykulik Zygmunta Krasińskiego, jak o tem wyraźnie mówi zamieszczone przedtem objaśnienie.

Życzliwemu. „Baczność!"—ale nad własną pamięcią, która Pana w obu danych nam przestrogach całkiem zawiodła.

A. G. Faust Jezierskiego a Hamlet Paszkowskiego.

L. B. W całym wywodzie nie odstępowały Pana dwa błędy: 1) że autor jest zupełnie „zadowolony" z jedynego zakątka swej wolnej woli, 2) że tam tylko jest sobą. Jeżeli nalot dyfteryczny zatka komuś gardło, i jeżeli duszący się każe sobie przeciąć krtań, czy będzie zadowolony z tego otworu i nie zapragnie wróćić do naturalnego oddychania? A przecież ten otwór sprawia mu wielką ulgę.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Декабря 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.